V-4826/28

ŚWIAT

1 zł

Nr. 8. DNIA 25 LUTEGO 1933 ROKU

ADAM STYKA „IDYLLA MAROKAŃSKA"

TREŚĆ:

Atak na kryzys

●

U trzech faraonów i jednego sfinksa

●

Najpotrzebniejsza kolej

●

Komisja „Pro Russia"

●

Sam wśród dzikusów
(Wspomnienia podróżniczo-myśliwskie z Afryki Środkowej W. Marylskiego)

●

Stulecie Teatru Wielkiego

●

Warszawa pod śniegiem

●

Tydzień „Świata"
Literatura. Malarstwo. Teatr. Muzyka. Kino.

Każde włosy układają się miękko i falisto
po zabiegu
WIECZNEJ ONDULACJI W FIRMIE
B. MAZURKIEWICZ
NOWY ŚWIAT 40 (gdzie Kino „Pan")

Zalecana przez lekarzy świata całego w przypadkach
PRZEZIĘBIENIA, GRYPY, KASZLU
CHRYPKI, ZAPALENIA OSKRZELI
Sirolina „Roche"
znacznie staniała
CENA DETALICZNA ZA FLAKON ZAMIAST ZŁ. 6.50 TYLKO ZŁ 4.90

W CIĘŻKICH CZASACH
ZDROWIE
JEST JESZCZE CENNIEJSZE!
CIERPIĄCYM
NA ARTRETYZM, SKLEROZĘ,
DUSZNICĘ,
WYCZERPANIE NERWOWE,
DOLEGLIWOŚCI PŁUC I ŻOŁĄDKA
PRZYWRACA
ZDOLNOŚĆ DO PRACY,
ZADOWOLENIE Z ŻYCIA
NATURALNY
UTRWALONY
SOK Z CZOSNKU
Z MARKĄ
INFORMACJE:
APTEKA MAZOWIECKA —WARSZAWA— MAZOWIECKA 10, TEL. 621-12

Panflavin
w PASTYLKACH
dla ochrony przed
zapaleniem gardła i zaziębieniem.
Do nabycia w aptekach.

Tylko tyle
co bilet II-ej klasy
kosztuje
przelot samolotem
P. L. L. „LOT"

Chcesz mieć w czystości utrzymane mieszkanie
kantor czy biuro
korzystaj ze stałych
usług firmy
WARSZAWA,
ŻÓRAWIA 38 — 10.
Telefon Nr. 290-32
I. Elżanowska
Kantor czyszczenia okien wystawowych, wstawiania, kitowania szyb, cyklinowania i froterowania posadzek, reparowania linoleum, odkurzania mebli, dywanów elektrycznemi odkurzaczami. Pakowania okien na zimę

To tu ..... to tam
i kłuje i drze...
Ale zawsze pomaga
ASPIRINA. BAYER
Do nabycia we wszystkich aptekach.

NASZ HUMOR POLITYCZNY

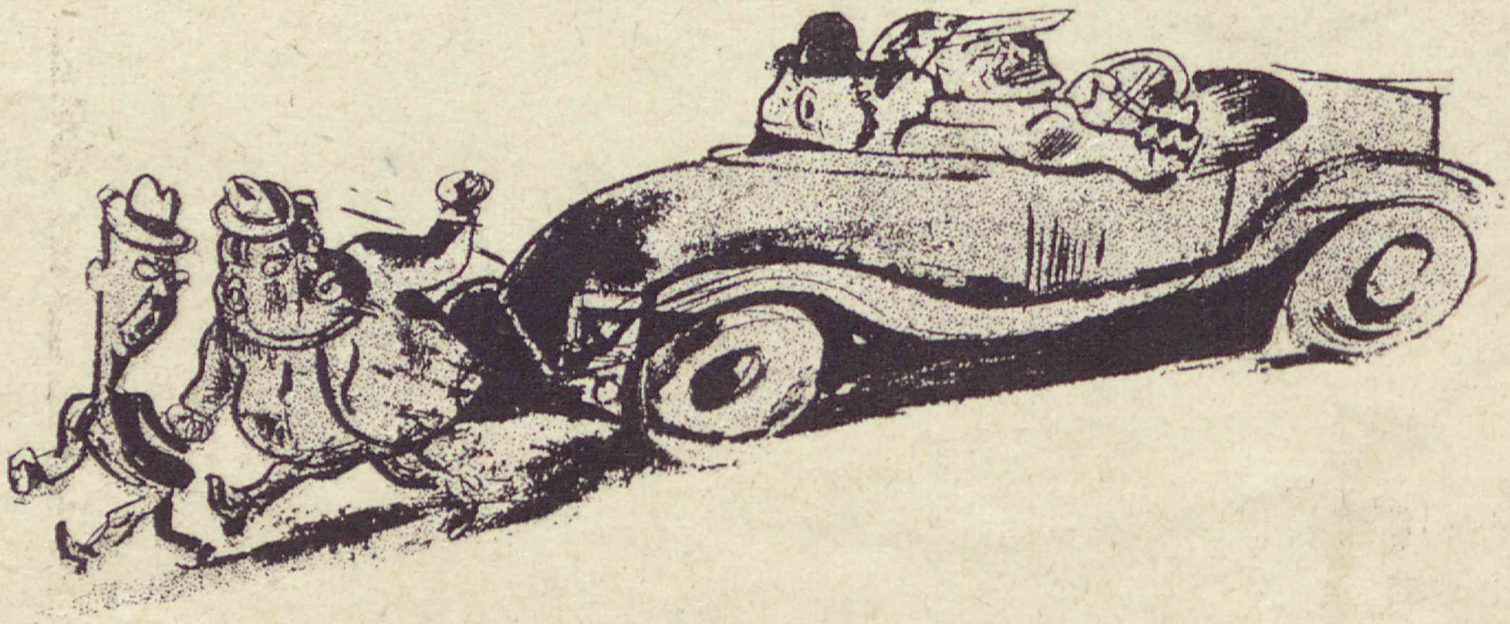

Rys. J. Zaruba — „Cyrulik Warszawski"

NOWOŚCI WYDAWNICZE ILUSTROWANE: „ZAZDROŚĆ I MEDYCYNA"
(posłowie: Stroński i Niedziałkowski; doktorowie med. Składkowski i Hubicki)

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WARSZAWA, DNIA 25-go LUTEGO 1933 ROKU

ROK XXVIII • NR. 8 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

ZAMIAST ŻÓŁKNĄĆ Z ZAZDROŚCI

Z powodu rumieńców koleżanek, powracających z zimowego urlopu!

Lepiej jest zdobyć takie same rumieńce

używając PUDRÓW

„VERMEILLE"

i „ROSITA"

M. MALINOWSKIEGO

Apteka, ul. Nowy Świat 31

Laboratorjum Chem. Farm.

Apteki, ul. Chmielna 4

Instytut Kosmetyczno-Lekarski

„IZIS"

w Warszawie

Centrala: ŻABIA 4 (gmach Ordynacji hr. Zamoyskich) Telefon 761-53

Oddział: Marszałkowska 94, tel. 9-98-68

Godziny przyjęć od 10 r. do 7 wiecz.

CZEKOLADA DESEROWA

WEDLA

mało cukrzona, niezrownanej dobroci.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

ARTRETYZM

LECZY

SÓL OWOCOWA

KARPOSAL

KARPIŃSKIEGO

ATAK NA KRYZYS

Z dobrą inicjatywą wystąpił Klub Bezpartyjnego Bloku współpracy z Rządem, zgłaszając w Sejmie wniosek o zastąpienie zasiłków pozaustawowych, wypłacanych bezrobotnym, przez dostarczenie im pracy drogą zorganizowania robót publicznych. Zdrowsza to forma pomocy, przyjemniejsza dla pozbawionych pracy i korzystniejsza dla kraju.

Domagaliśmy się tego w artykule noworocznym*), nawołując rząd, aby wyszedł z biernego oczekiwania aż minie dekonjunktura i przystąpił do ofensywy przeciwko kryzysowi, bezrobociu, przeciwko zanikowi naszych placówek gospodarczych, niosącemu uwiąd całemu ustrojowi ekonomicznemu. Z radością też witamy obecną inicjatywę ustawodawczą; nie zrodziła się ona wprawdzie w rządzie, lecz w parlamentarnym klubie rządowym, na jedno to wszakże wychodzi.

Nie możemy tylko pojąć, dlaczego wniosek posłów B. B. W. R. nie powierza walki z bezrobociem i akcji inwestycyjnej normalnym do tego przeznaczonym organom wykonawczym państwa, lecz powołuje do życia specjalną instytucję — „Fundusz Pracy", mającą własne władze i własny aparat urzędniczy. Byłoby zrozumiałe, gdyby opozycja, z braku zaufania do rządu, chciała gromadzone fundusze na walkę z bezrobociem oddać w ręce czynników społecznych, pochodzących z wyborów i niezależnych od ministrów. Ale tutaj tej intencji niema; wszystkie władze „Funduszu Pracy": prezes, komitet naczelny, dyrekcja — powstają z nominacji Prezesa Rady Ministrów, jemu podlegają, on za nie odpowiada. Pocóż więc tworzyć te nowe urzędy, zużywać znaczną część sum, mających produkcyjne przeznaczenie, na wydatki administracyjne, poco wytwarzać dwutorowość, osłabiającą i paraliżującą każdą akcję?

Cele zakreślone „Funduszowi Pracy" spełniają należycie istniejące Ministerstwa. Ściąganiem nowych opłat i dodatków do podatków zajmować się muszą organy Ministerstwa Skarbu. Zamiast je przelewać do kasy „Funduszu Pracy", tam gromadzić, przechowywać, administrować niemi, wystarczyłoby otwarcie w kasach skarbowych odrębnego konta. Inicjowanie i projektowanie robót publicznych lepiej wykona Ministerstwo Komunikacji, Rolnictwa czy Przemysłu i Handlu — każde w swoim zakresie, odziedziczonym po skasowanem przedwcześnie Ministerstwie Robót Publicznych, — niż nowoutworzona instytucja, nieposiadająca ani wykwalifikowanego personelu, ani potrzebnych danych. Prowadzenie akcji, zmierzającej do zwiększenia stanu zatrudnienia, należy do Min. Przemysłu i Handlu. O zaopatrzenie osób pozbawionych pracy i o pomoc doraźną dla nich — dba Ministerstwo Opieki Społecznej. Trudno przypuścić, aby te resorty były do tego stopnia przeciążone pracą, że w najistotniejszych swych zadaniach muszą wyręczać się nową instytucją. Ostatecznie, w razie potrzeby, łatwiej i taniej wypadłoby powiększenie ich

*) „Koniec i początek" № 53 „Świata" z dn. 31 grudnia 1932 r.

składu osobowego, niż tworzenie nowego organu, nie mającego ani znajomości rzeczy, ani doświadczenia.

Jeśli zaś chodzi o uzgodnienie tych wszystkich działań finansowych, technicznych i socjalnych, o poddanie ich jednej myśli kierowniczej, to właśnie w tym celu istnieje Rada Ministrów, a przy niej Komitet Ekonomiczny, jako biuro do opracowywania i precyzowania ogólnych dyrektyw rządu.

Niema dziś w państwie ważniejszego zagadnienia wewnętrznego nad zatrudnienie bezrobotnych przy wielkich imprezach inwestycyjnych, mających wyprowadzić Polskę ze stanu zaniedbania i upośledzenia cywilizacyjnego. Musi ono stanowić nieustanną troskę całego rządu i przedmiot codziennych jego wysiłków. Spychanie tych zadań z głównej magistrali prac rządowych na boczny, wąziutki, zaimprowizowany tor jakiejś ad hoc stworzonej instytucji byłoby niezdawaniem sobie sprawy z ich wagi, albo — co gorzej — mogłoby uchodzić za brak wiary w rezultaty i za markowanie tylko działania dla uspokojenia opinji publicznej.

Program walki z bezrobociem drogą podjęcia wielkich inwestycji posiada dwie strony: zdobycie na ten cel funduszów i ułożenie planu robót publicznych. Wniosek Klubu B. B. W. R., uchwalony przez Sejm, zajmuje się tylko pierwszem zagadnieniem. Opodatkowuje on na ten cel wszystkich obywateli, mających jakiekolwiek zarobki, wszystkie przedsiębiorstwa prywatne, dalej widowiska i zabawy, cukier, piwo, safes'y, żarówki elektryczne, gaz, komorne etc., nadto przekazuje na ten cel zaległości podatkowe i subwencje komunalne, co w sumie — według prowizorycznych obliczeń — da około 100 mil. rocznie. Jeślibyśmy połowę tej sumy przeznaczyli na robociznę, możnaby w ciągu roku zatrudnić przeszło 30 tys. robotników, płacąc po 5 zł. dziennie. Nie usunęłoby to jeszcze bezrobocia. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że druga połowa poszłaby na zakup materjałów, których wyrób znów zatrudniłby pewną ilość bezrobotnych. Wzmogłoby to ogólne spożycie w kraju, wpłynęłoby dobroczynnie na uruchomienie różnych gałęzi przemysłu, podniosłoby popyt na produkty rolne, pchnęłoby naprzód interesy, ruszyłoby je z martwego punktu. Ten pierwszy wysiłek mógłby zmienić kierunek linji wskaźnikowej życia gospodarczego z dołu ku górze.

Egzotyczny pomnik

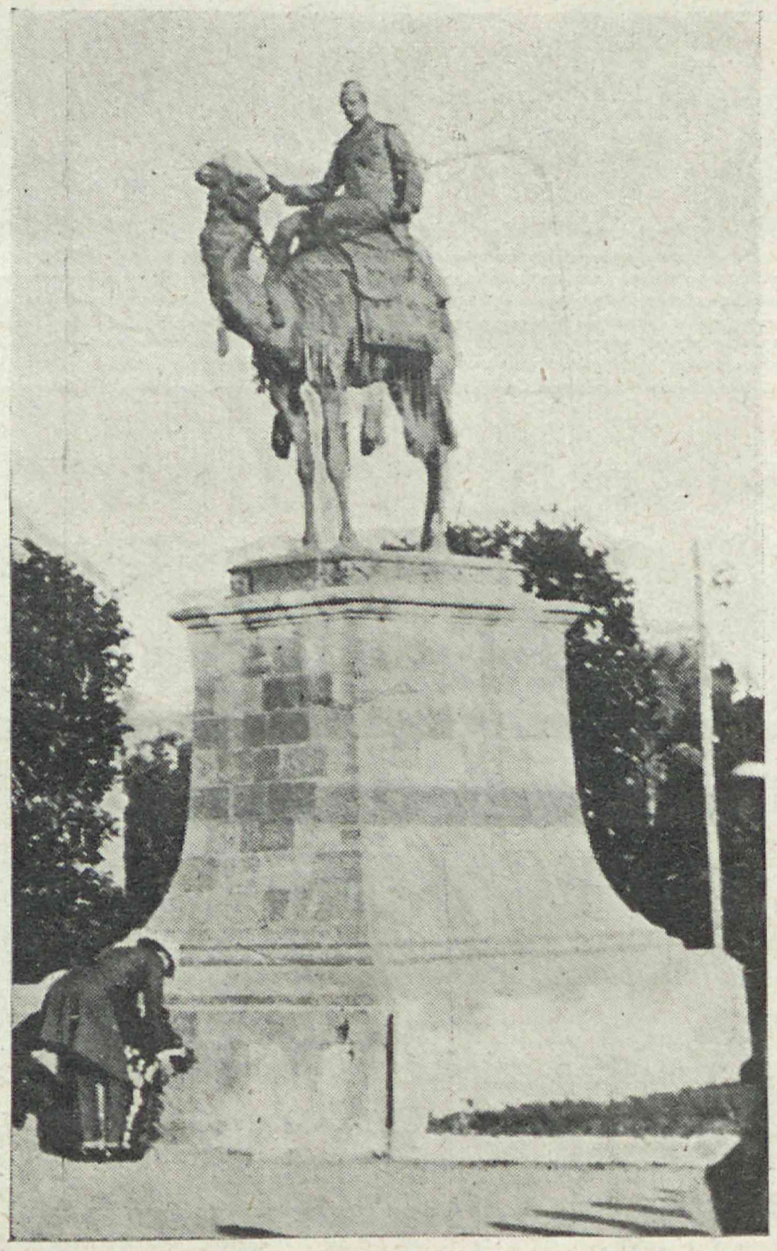

W mieście Chartum, w Sudanie, odsłonięto pomnik angielskiego generała Karola Jerzego Gordona, zdobywcy i gubernatora Sudanu w 1877 roku. Fotografja nasza przedstawia złożenie wieńca u stóp pomnika przez obecnego generalnego gubernatora Sir John Loader Maffey'a w setną rocznicę urodzin gen. Gordona.

Czyż dla przełamania kryzysu nie warto złożyć powszechnej daniny? Zwłaszcza, że stawki podatkowe nie są wysokie: od ½ do 2% zarobku. Największe skargi podnosi przemysł. Wskazuje on na sprzeczność w polityce rządowej, domagającej się zniżki cen, a jednocześnie nakładającej nowe opłaty. Sprzeczność to raczej pozorna. Obciążenie produkcji jednoprocentową opłatą powinno się zmieścić w obecnej kalkulacji cen fabrycznych wobec potanienia robocizny, kredytu, surowców etc. A nawet gdyby niektóre towary podniosły się w cenie o 1%, ale tylko o jeden, nie byłoby nieszczęścia. Niestety, niektórzy producenci przywykli w ten sposób kalkulować, że nie zadawalają się pokryciem zwyżki kosztów własnych, lecz na niej opierają obliczenie zysków. Otóż tego dziś czynić nie wolno.

Zresztą opłaty wprowadzane ustawą o „Funduszu Pracy" nie są nowością; zmieniają tylko nazwę, gdyż dotychczas prawie wszystkie już istniały na mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 23 sierpnia 1932 r. o pomocy bezrobotnym.

Jeśli w czem mają sfery gospodarcze słuszność, to w twierdzeniu, że państwo, żądając ofiar na bezrobotnych i na roboty publiczne od obywateli, samo też nie może się od nich uchylić. Zwłaszcza, że trudno zwalać cały ciężar inwestycji na obecne pokolenie. Powinno się część jego przerzucić na przyszłość. Operacja kredytowa, chociażby przez wypuszczenie bonów skarbowych, które Bank Polski ma prawo dyskontować, wzmogłaby fundusze antykryzysowe, rozłożyłaby obowiązek ich dostarczenia szerzej, przyspieszyłaby proces dźwigania się kraju.

Ale dla pomyślności całej akcji potrzeba jednego warunku: pewności, że ściągnięte ze społeczeństwa i pożyczone przez państwo pieniądze będą zużytkowane celowo: na inwestycje produkcyjne, szybko amortyzujące się, podnoszące siły gospodarcze kraju.

Jest to tembardziej potrzebne, że ogół polski zrażony został lekkomyślnemi wydatkami na luksusowe pałace, za obszerne gmachy, nierealne przedsięwzięcia, zbytkowne stadjony, wzorowe Instytuty i t. d.

Otóż pod tym względem nowa ustawa zawiera pewną lukę. Mówi ona ogólnikowo, że „w zakresie zadań Funduszu pracy uwzględnione będą przedewszystkiem roboty następujące: budowa i ulepszenie sieci komunikacyjnej, regulacja rzek, meljoracje. Plan i kolejność robót zatwierdza prezes Rady Ministrów".

Taka formuła wystarczyłaby dla poddanych państwa absolutystycznego, zmuszonych wierzyć w nieomylność władzy. Opinja obywateli Rzeczypospolitej domaga się, aby istniała jawność i publiczna krytyka planu i kolejności robót, przedsiębranych ze złożonego z trudem grosza wszystkich warstw społecznych, aż do najbiedniejszych.

Chodzi tu zresztą nietylko o formalistykę konstytucyjną. Chodzi też o to, aby w obywatelach powstała świadomość, że dają na rzeczy pożyteczne, realne, podnoszące kraj gospodarczo i cywilizacyjnie. Chodzi o to, abyśmy się cieszyli inwestycjami, powstałemi z dodatkowo złożonych podatków, aby wokół planu robót publicznych zrodziło się zainteresowanie, zapał, entuzjazm. Wtedy łatwiej będzie oddać swoją cząstkę uposażenia i łatwiej przepłacać za przedmioty niezbędne, obłożone pośrednią taksą na bezrobotnych.

W. Giełżyński

WEWNĘTRZNE KŁOPOTY I RADOŚCI KRAINY GEJSZ

Dziewczęta japońskie, pracujące w przędzalni w Tokio, proklamują strajk

Na zabawie dla dzieci w Tokio popisuje się młoda danserka „Fot. The New York Times"

U TRZECH FARAONÓW

Do Gizeh jedzie się z Kairu taksówką. W niespełna pół godziny staje się u stóp piramidy Cheopsa. Szofer, ubrany w galabiję i fez, odwraca się wówczas i mówi:

— Oto pomnik i grób Najjaśniejszego Pana Faraona Cheopsa.

Tak mówi, myśli natomiast:

— Co za idjoci ci *rumi*, płacą pięćdziesiąt piastrów za przejazd, aby zobaczyć tę kupę gruzów. Allah jest wielki!

Allah jest istotnie wielki, ale nie tak, aby swym cieniem pokryć wielkość starego Egiptu. Egipt faraonów wciąż jeszcze góruje nad Egiptem arabskich zdobywców i króla Fuada. Któż, poza klientami Coocka, słyszał dzisiaj o meczecie Barkuka w Kairze? A kto nie wie o Cheopsie, Chefrenie, o świątyni w Luksorze, Memfisie, o Tutenkamenie...

A więc jestem w Gizeh. Za mną Nil, przedemną trzy najsławniejsze piramidy, a naokoło tłum arabskich oberwańców - przewodników.

Wygląda to wszystko, bądź co bądź, imponująco. Na szczerej pustyni, zasypanej głazami, piaskiem i wszelakiemi okruchami skał, pośród których najbystrzejsze oko nie dopatrzy nawet źdźbła zieleni, — widnieją trzy kamienne góry - piramidy. Zbudowane z potężnych bloków granitowych, ułożonych w schody, osiedziałe głęboko w piasku, — tkwią tutaj już czterdzieści siedem wieków.

Naokoło nich tulą się ruiny świątyń. Kolumny, posągi, rzeźby spotyka się co krok. Przy całym pozornym bezładzie wszystkie te pamiątki są ściśle policzone, porejestrowane i zapisane. Przewodnicy orjentują się w nich świetnie. Wprawdzie mylą się im niekiedy wieki, dynastje i nazwy bogów, ale któryż turysta dbałby o to, aby dowiedzieć się od przewodnika, z którego okresu pochodzi *naprawdę* ten czy inny bałwan pogański, albo komu *naprawdę* oddawano kult w cieniu tych prześlicznych, świetnie zachowanych kolumn kamiennych. Może bogu Ra, może Anubisowi, a może jakiej przystojnej bogini. Turyście wszystko jedno, on dba tylko o to, aby mieć „tło" do fotografji. Pstryk, i już jest uwieczniony razem z konterfektem faraona z dynastji... Wszystko jedno której!

Przy podróżowaniu i zwiedzaniu trzeba robić to, co robią Anglicy. Spotyka się ich w Gizeh na każdym kroku. Przyglądam się im pilnie. Wszyscy pieją z zachwytu. Muszę więc robić to samo. Usiłuję wprowadzić się w odpowiedni nastrój. Ale ani rusz. Nie idzie! Już, już zaczynam zachwycać się, gdy nagle, jak ten wąż, wślizga się do mózgu myśl: po kiego licha wybudowano te piramidy, chyba z powodu bezrobocia... Nasze pokolenia dźwignęły budowle bardziej monumentalne i celowe, a nie jest o nich tak głośno, jak o tych niepotrzebnych grobach. Może właśnie w tem tkwi tajemnica ich sławy, że nikomu nie były i nie są potrzebne. Człowieka mimowoli ogarnia podziw nad

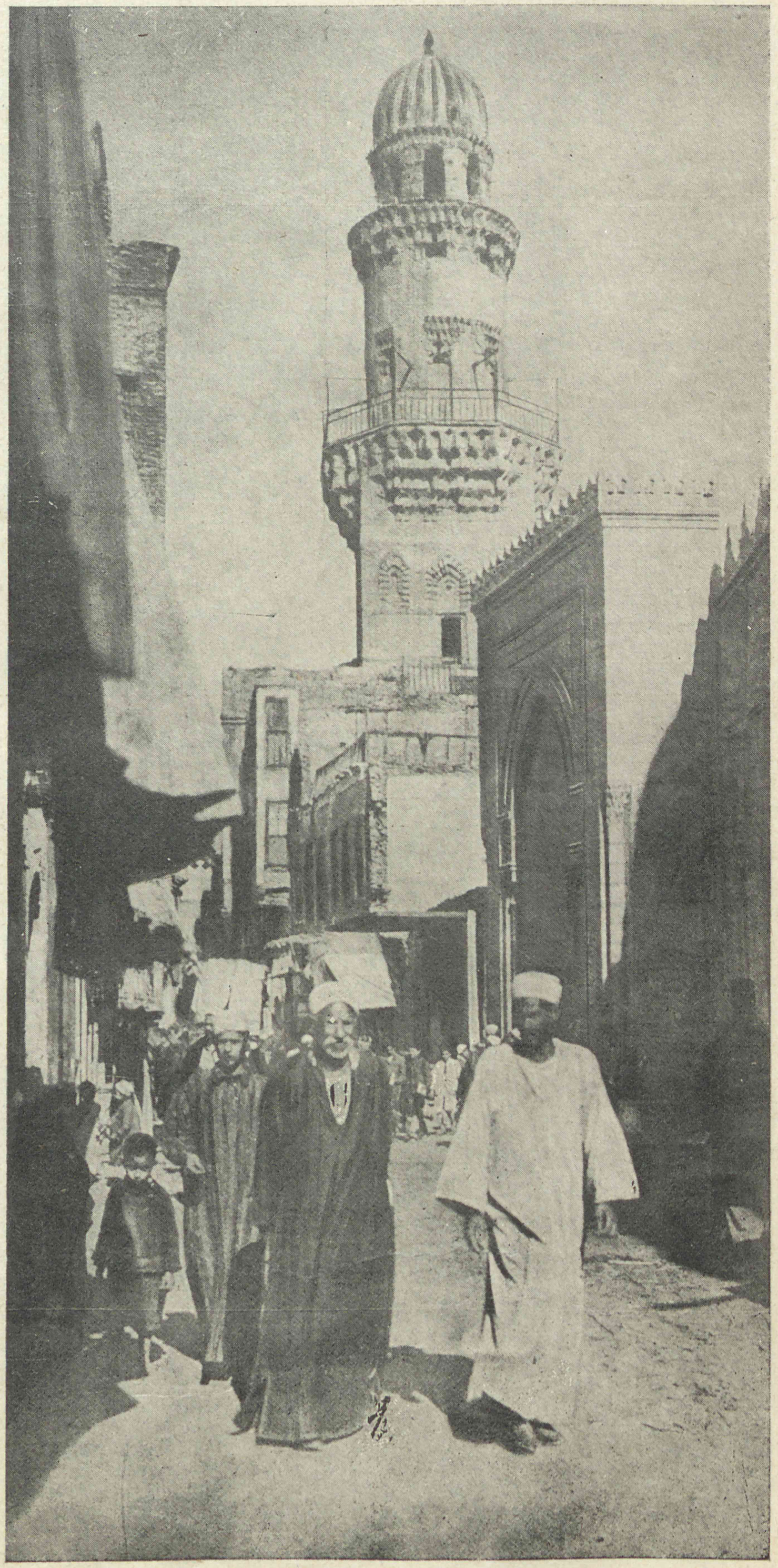

BŁĘKITNY MECZET W KAIRZE

I JEDNEGO SFINKSA

GIZEJSKI SFINKS

wielką ilością zmarnowanej energji i pracy. We mnie podziw zmieszał się z irytacją.

Ale cóż, jestem już w Gizeh, trzeba więc zobaczyć wszystko, co jest. Kiwam ręką na jednego przewodnika. Podbiega dziesięciu. Lękając się rozerwania na sztuki, chwytam szybko pierwszego z brzegu za połę galabiji.

— Biorę ciebie, Mohammed (na wschodzie każdego można nazwać Mohammedem z dużem prawdopodobieństwem, że się imię odgadło) — mówię pospiesznie.

— Oui monsieur.

Przewodnicy mówią wszystkiemi językami, z wyjątkiem słowiańskich.

— Czy *monsieur* chce zobaczyć wnętrze piramidy? — robi mi propozycję.

Oczywiście, chcę.

Włazimy do jakiejś nory i schyleni, na czworakach, wleczemy się ciasnym kurytarzem. Po półgodzinnym niebylejakim trudzie czuję, że przejście się skończyło i że jesteśmy w jakiejś sali. Wyprostowuję się z przyjemnością. Ciemno, choć oko wykol. Przewodnik zapala zapałkę. Widzę jego wąsatą mordkę. Na chwilę zajaśniało olśniewające światło magnezjowe. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, zapanował poprzedni mrok.

— Teraz możemy wracać — usłyszałem spokojny głos przewodnika.

— Jakto, już?

— Już, monsieur.

Jestem zły, że dałem nabrać się na tę wątpliwą przyjemność. Po wydostaniu się z „serca" piramidy, stwierdziłem w ubraniu kilka dziur i plam. Nie radzę nikomu zwiedzać wnętrza grobowca Cheopsa.

A teraz sfinks. Nie ma, bestja, nosa. Ustrzelili mu go podobno żołnierze Napoleona. Nie żeby go zeszpecić, lub archeologji zrobić krzywdę, ale poprostu „tak sobie". Czyż bowiem nie przyjemnie strzelać do nosa?

Na wzgórzu, górując nad sfinksem, stoi policjant egipski, wspaniale przyodziany w szaty wschodnie. Dzianet pod nim ognisty... Turystów angielskich aż zatyka widok tego prawdziwego z wyglądu rycerza średniowiecznego. Nie zauważyłem, by minęła go chociaż jedna *miss*, nie sfotografowawszy się na jego tle. Czem jak czem, ale taką fotografją można w Londynie zaimponować. Przyznam się, że i mnie coś załaskotało na jego widok.

Gdy się jest przy piramidach i przy sfinksie, wypada zadumać się i pomarzyć. Robił tak Napoleon, robił Słowacki, dlaczegoby miał nie zrobić Lepecki. Wszak szlachcic na zagrodzie... Już, już miałem się zadumać, gdy...

— Powróżyć, *monsieur*, powróżyć?

Jakiś tęgi Arab kucnął sobie naprzeciw mnie, narysował palcem na piasku pustyni kółko, położył w nie kamyk i patrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

— Powróżyć, *monsieur*, powróżyć.

Spoglądam na swego przewodnika.

— Ile? — pytam.

— Ę piastr — odpowiada arabską francusczyzną.

No, myślę sobie, za trzydzieści pięć groszy może wróżyć. Złego chyba nic nie powie za taki marny pieniądz. Nie opłaci mu się nawet zmyślać.

— No, dobrze — mówię po polsku — wróż ile chcesz.

Arab zrozumiał i natychmiast, jak z płyty gramofonowej, rozpoczął przemowę, w której rozpoznawałem słowa francuskie, angielskie, niemieckie, włoskie, ale której, oczywiście, nie zrozumiałem ani w ząb. Nie wiem, czy mój przewodnik zrozumiał, czy kierował się tylko intuicją, ale, bądź co bądź, podjął się wróżbę tłomaczyć.

— Obok pana — zaczął — brunetka. Strzeż się pan blondynki, ponieważ w jej sercu mieszka zdrada. Dostanie pan list, który...

Przez chwilę zamroczyło mnie. Czyżbym do licha był w warszawskiej kuchni, a przede mną stała cyganka?... Ale nie, piramidy sterczą, jak wół.

— Dość — ryknąłem na Araba — nie poto przyjechałem do Gizeh, aby słuchać takich przepowiedni.

Wróżbiarz spojrzał na mnie z przestrachem i chcąc widocznie ułagodzić mój gniew, pospiesznie oświadczył, że zadowoli się połową piastra.

— Nie trzeba *ę piastr* — mówił — wystarczy m i d i.

Dałem mu dwa piastry i szybko oddaliłem się od kółka na piasku pustyni, w którego obwodzie widniał kamyk.

Południe było za pasem. Poczułem to po wzmagającym się upale. Gorąco oblepiło mnie potem i zmęczeniem. Począłem z tęsknotą spoglądać ku widniejącym w oddali, nad Nilem, grupom cienistych palm. Rzuciłem jeszcze raz okiem na kamienne, szare kolosy, którym nawet egipskie słońce nie potrafiło nadać barw i tonów; na wyniosłego policjanta - rycerza; na snujących się sennie przewodników arabskich; na autokar Coocka; na jadącego na ośle Fellaha; na wspaniałą limuzynę jakiejś angielskiej pary; na grupę czarnej jak smoła wielbłądziej kawalerji sudańskiej, zdążającej skądś dokądś; na sfinksa bez nosa i odwróciwszy się od tych „cudów" bez najmniejszego żalu, skierowałem się ku ojcu wszystkich rzek świata, ku Nilowi.

Kpt. Mieczysław B. Lepecki

NAJPOTRZEBNIEJSZA KOLEJ

Nie wszyscy podróżni, jadąc koleją prawym brzegiem Wisły w kierunku Pomorza — Gdyni, badają dokładnie mapy, obliczają odległości, słowem — orjentują się w geografji.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że na odcinku kolejowym Mława — Iłowo — Działdowo znajdują się w odległości zaledwie 5 do 5½ kilometrów od granicy Prus Wschodnich.

Po tamtej stronie granicy wre praca fortyfikacyjna i budują się pośpiesznie nowe kolejowe linje strategiczne.

U nas bezbronnie przebiega kolej, która jest *jedyną linją* na prawym brzegu Wisły, łączącą Warszawę z Grudziądzem, Gdynią i całem Pomorzem. Druga linja biegnie lewym brzegiem!

Czy ogół nasz zdaje sobie należycie sprawę z niebezpieczeństwa komunikacyjnego, w jakiem państwo się znajduje przy lada jakiej zawierusze, wznieconej ze strony Prus Wschodnich? Już nawet nie regularnej armji zaczepnej, ale choćby jakichś band dywersyjnych wystarczy, aby z łatwością przebyć 5 kl. i zniszczyć tak ważną arterję komunikacyjną.

Pomyśleć: jedna, jedyna linja kolejowa i w dodatku na samej granicy.

Od wielu lat istnieje w Ministerstwie komunikacji projekt usunięcia tego niebezpieczeństwa. Lwią część tej pracy nawet już wykonano. Od stacji Nasielsk rząd polski wybudował normalnotorową kolej przez Płońsk do Sierpca.

Od paru lat pociągi kursują codziennie po tej linji. Brakuje jedynie odcinka Sierpc — Rypin — Brodnica, liczącego niespełna 50 kilometrów, aby stworzyć na prawym brzegu Wisły drugą linję, bardziej oddaloną od granicy wschodnio-pruskiej, a więc bezpieczniejszą.

Pomijając względy obronne, kolej ta miałaby wielkie znaczenie gospodarcze dla kraju, przecinając jeden z kulturalnych i zamożniejszych okręgów, jakim jest powiat rypiński.

Jeżeli się nadto zważy, że pierwszym od Warszawy mostem kolejowym w dół Wisły jest dopiero toruński, i że w przygotowaniu są projekty bliższego mostu w Płocku, a nadto, że roboty ziemne przy budowie kolei Płock — Sierpc są już w połowie gotowe, otrzymamy plan kolei z węzłem w Sierpcu, który od Brodnicy przerzucałby pociągi zarówno w kierunku Nasielska — Warszawy, jak i Płocka — Kutna — Łodzi.

Jest to więc linja — jak widzimy — pierwszorzędnej obronnej i gospodarczej wagi. Plany ma dawno sporządzone. Niestety, jakby zapomniano o nich! Kryzys i brak środków będzie tu zawsze wytłómaczeniem. Ale bywają względy konieczne, dla których w najcięższych nawet okresach środki znaleźć się muszą.

Walka z bezrobociem najlepszy znajdzie swój wyraz w uruchomieniu prac publicznych. Kolej Warszawa — Radom ma być budowana pod hasłem walki z bezrobociem. Warto, aby racjonalnie zamierzany program uruchomienia robót publicznych objął i ten zapomniany odcinek proponowanej w kierunku Pomorza kolei o doniosłem dla państwa znaczeniu.

Stefan Gorski

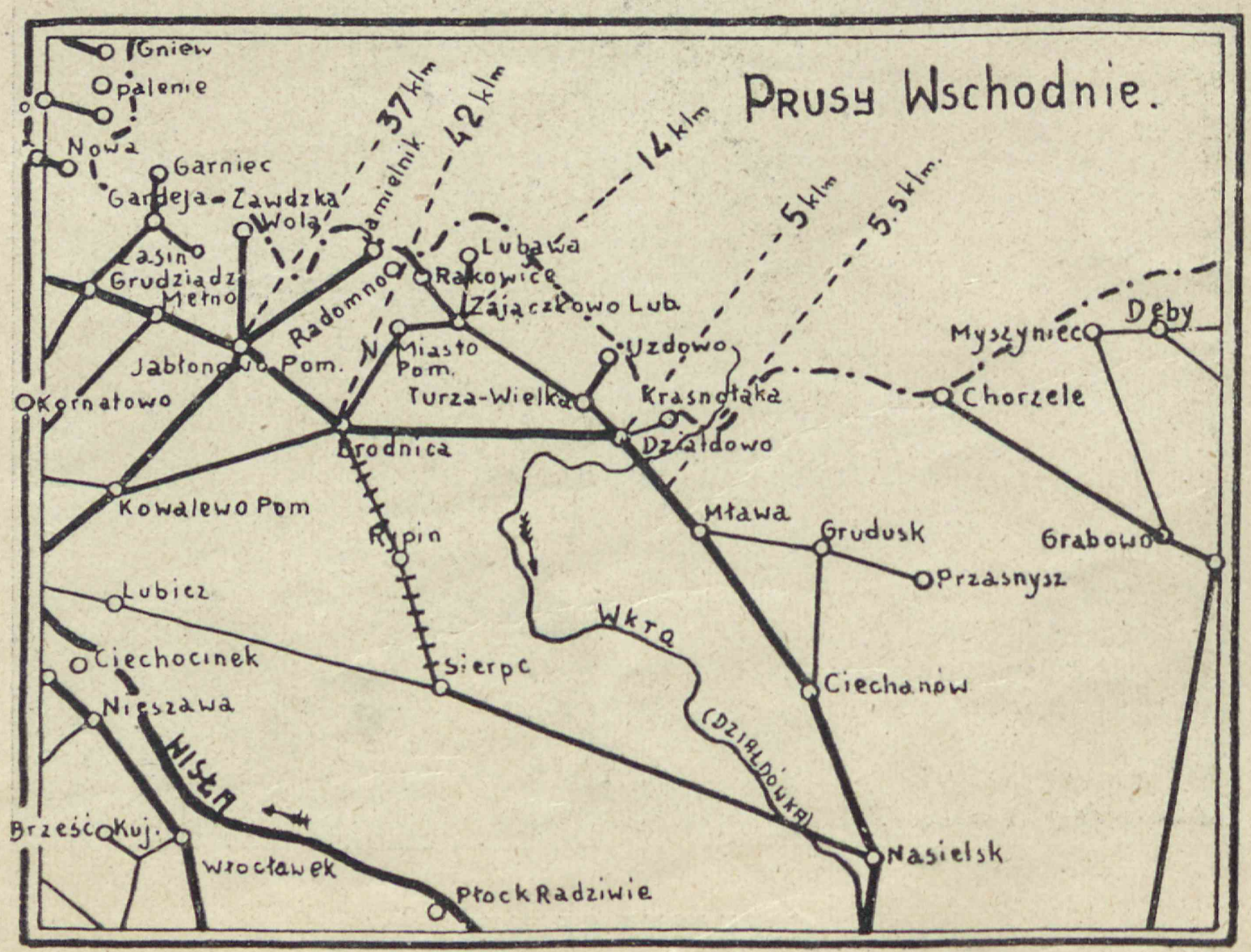

Sieć kolejowa na północ od Wisły

Prezes komisji „Pro Russia" i jego pomocnik

Sprawa ucieczki ks. Aleksandra Deubnera z Watykanu, mimo szeregu wyjaśnień i sprostowań, przedstawia się nadal niezwykle tajemniczo. Przedewszystkiem, wbrew zaprzeczeniom, można kategorycznie ustalić, że ks. Deubner współpracował najściślej z prezesem komisji watykańskiej „Pro Russia", jezuitą, arcybiskupem d'Herbigny, odbywał z nim podróże do Rosji, a nawet obaj napisali wspólnie książkę, p. t. „Les éveques russes", której tytułową kartę podajemy obok, jako niezwalczony dowód kollaboracji arcybiskupa d'Herbigny z ks. Deubnerem.

Ks. arcybiskup d'Herbigny.

Pozostaje też niezaprzeczonym faktem, iż „Pro Russia" pod prezesurą arc. d'Herbigny'ego wyrządziła więcej szkody polskości w Rosji, niż pomogła katolicyzmowi.

D'Herbigny i Deubner likwidowali bowiem pośpiesznie polskie duchowieństwo na terenie sowieckim, nie bacząc, iż Polacy stanowią gros katolicyzmu w Rosji i najmocniej stoją przy Rzymie. Likwidacja ta postępowała tak szybko, iż zwróciła nawet uwagę w Watykanie, i arcyb. d'Herbigny zmuszony był bezpośrednio po powrocie z swej drugiej podróży po Rosji pojechać poraz trzeci, aby naprawić krzywdę wyrządzoną Polakom.

Gorzej, iż działalność ks. d'Herbigny'ego rozciąga się na ziemie polskie i pod jego egidą odbywa się akcja unijna, mająca na celu pozyskanie prawosławnych obywateli polskich dla nowoutworzonego obrządku bizantyjsko - słowiańskiego, którego językiem cerkiewnym jest rosyjski.

W ten sposób Białorusini, Ukraińcy i Polacy kresowi w dalszym ciągu ulegają rusyfikacji, niegorszej, jak za czasów zaborczych.

Nie zarzucając złej woli ks. arcybiskupowi d'Herbigny'emu, musimy jednak skonstatować, iż nie zna on ani duszy rosyjskiej, ani nie orjentuje się w dziejowej sytuacji; czyny jego noszą charakter zupełnego dyletantyzmu. Bo i skądże ma znać?

Ks. d'Herbigny urodził się w Lille we Francji, 8 maja 1880 roku; wyświęcony został w roku 1910. Przez pewien czas był kierownikiem kolegium jezuickiego w Aughien (w Belgji), gdzie dokształcano kilku księży, Rosjan - Konwertytów. Stąd jego zainteresowania rosyjskie.

Następnie powołano go do Rzymu, gdzie pracował w Kongregacji wschodniej i w roku 1922 otrzymał nominację na rektora Instytutu Wschodniego.

Gdy stworzono komisję „Pro Russia" ks. d'Herbigny został jej referentem, a następnie, po usunięciu z prezesury kardynała Sincero, dnia 30 kwietnia 1930 roku ks. d'Herbigny mianowano prezesem. Biskupią sakrę otrzymał dnia 29 marca 1926 roku w Berlinie, u Jezuitów.

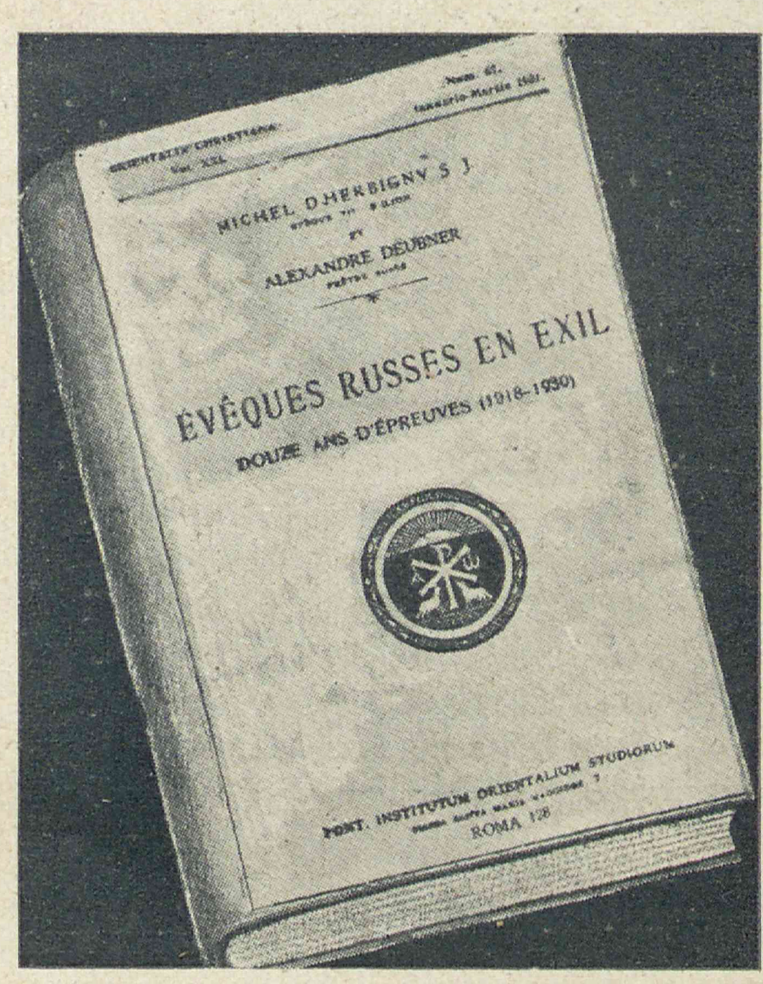

Tytułowa karta wspólnego dzieła arcybiskupa d'Herbigny i ks. Deubnera.

To świetne teoretyczne przygotowanie w zetknięciu się z rzeczywistością wydało jaknajgorszy rezultat, a Polskę przyprawiło o niepowetowane straty.

Szczerze katolicki naród polski domagać się musi naprawy błędów, które popełnił niedość zorjentowany dyplomata kościelny.

S. R.

Berlin ucztuje na cześć Gdańska

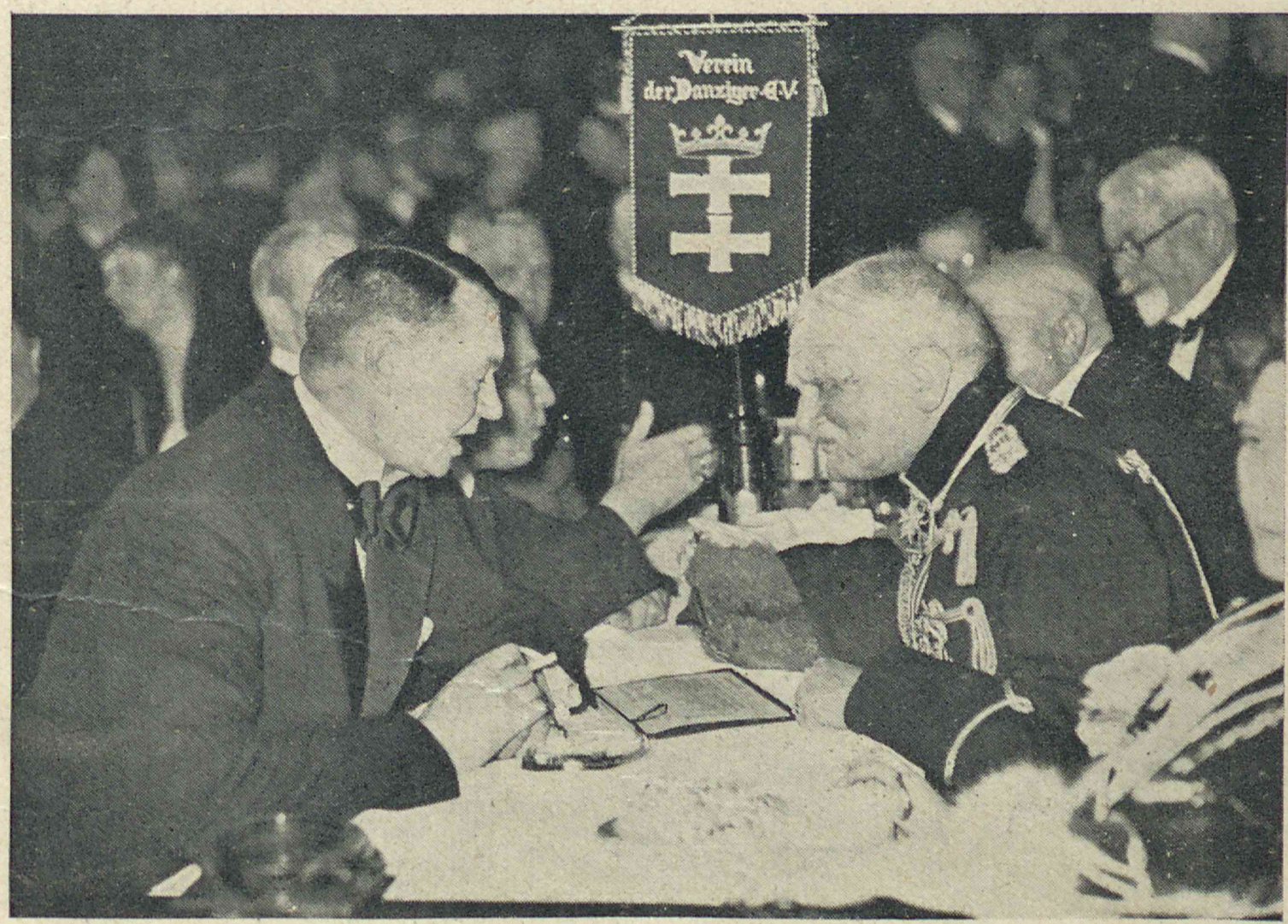

W Berlinie odbywają się perjodyczne bankiety „gdańskie", na które przybywa śmietanka aneksjonistów niemieckich. Ostatnio odbyła się taka biesiada towarzyska w konzerthausie „Clou", dnia 17 b. m. Wzięli w niej udział feldmarszałek Mackensen (na prawo) i nadburmistrz Berlina, dawniej prezes Senatu gdańskiego Sahm, dobrze nam znany z czasów okupacji (na lewo).

TYDZIEŃ ŚWIATA

Samoobrona

(V.) Przekształcenie Małej Ententy z grupy państw, złączonych sojuszami, w związek o wspólnej polityce zagranicznej i gospodarczej stanowi najdonioślejszy wypadek polityczny czasów powojennych. Oznacza on, że wiara w dostateczność Ligi Narodów i paktów międzynarodowych dla utrzymania pokoju w Europie osłabła i że państwa młode, wzbudzające apetyty sąsiadów, muszą same stwarzać sobie gwarancje bezpieczeństwa.

Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę coraz jawniejsze, częstsze i coraz bardziej cyniczne manifestacje zwolenników rewizji granic, ustalonych po wojnie. Ostatnio w komisji spraw zagranicznych francuskiej Izby Deputowanych poseł Ibarnegaray wprost stwierdził, że 7 sierpnia r. ub. zawarte zostało między Niemcami, Włochami i Węgrami tajne przymierze, mające na celu odebranie Polsce, Jugosławji, Czechosłowacji i Rumunji ziem, do których tamte trzy państwa roszczą sobie pretensje na zasadzie posiadania ich niegdyś drogą zaboru. Uprzednio identyczne rewelacje uczynił znakomity publicysta angielski Steeg.

Wprawdzie Mussolini kategorycznie zaprzeczył utworzeniu takiego przymierza, ale nawet, jeśli nie powstało ono formalnie, to istnieje faktycznie, gdyż Niemcy, Węgry i Włochy związane są zarówno wspólnością polityki zagranicznej, proklamującej rewizjonizm, jak i pokrewieństwem idei ustrojowych. Świat aż nadto często obserwuje objawy czułości między temi państwami, a nawet ma dowody materjalne ich współpracy w zbrojeniach, że wspomnimy tylko o transporcie karabinów z Włoch do Węgier, przyłapanym w Hirtenbergu — w Austrji.

Imperjalizm faszystowskich Włoch, hitlerowskich Niemiec i reakcyjnych Węgier najbardziej zagraża państwom Małej Ententy. Zdrowy instynkt zachowawczy kazał im złączyć się w wielki blok o 45 miljonach ludności, będący nietylko zabezpieczeniem własnej niepodległości, ale też ostoją pokoju w Europie Centralnej.

Polska, wyznająca te same zasady poszanowania granic i traktatów, narażona też na te same niebezpieczeństwa ze strony łasego na cudze ziemie sąsiada, z najwyższą radością powitała wzmocnienie Małej Ententy. Jeśli nie w niej, to obok niej stanowi ona północny bastjon, zagradzający drogę mącicielom pokoju świata i amatorom zaborów. Przeciwko trójkątowi niebezpieczeństwa w Europie — od Bałtyku do Jadranu ciągnie się solidny wał ochronny.

Wilcze apetyty

(Wig) Tak się złożyło, że tego samego tygodnia Niemcy usłyszeli dwie odpowiedzi ze strony Polski: od aktualnego i od byłego ministra spraw zagranicznych.

P. August Zaleski wystąpił w charakterze historyka, co stanowiło jego zawód, zanim zajął się dyplomacją. Z objektywizmem badacza i ze spokojem sobie właściwym przedstawił w wypełnionej po wręby wielkiej auli Uniwersytetu Warszawskiego zamiary polityczne Niemiec w stosunku do Polski podczas wojny światowej. Nie dał od siebie żadnego komentarza, nie zaakcentował ani jednego momentu. Fakty mówiły, krzyczały same za siebie.

Wszystkie rozwiązania kwestji polskiej w projektach niemieckich zmierzały do zaanektowania nowych obszarów, zawsze z jedną motywacją: „zagwarantowania stałego pokoju i bezpieczeństwa dla Cesarstwa". Już wtedy przeszkadzał im „kurytarz polski", odgradzający Brandenburgję i Pomorze od Śląska; był to „kurytarz", biegnący przez Będzin — Częstochowę — Łódź — Płock — Mławę — Augustów. To też żądali „sprostowań granicznych... niezbędnych dla militarnego zabezpieczenia".

August Zaleski, jako prelegent

Kropka w kropkę, słowo w słowo, argument w argument, jak teraz — tylko terytorjum inne.

I jakiż to los gotowali niemieccy mężowie stanu ludności polskiej tego pasa? Feldmarszałek Hindenburg w memorjale złożonym kanclerzowi Hertlingowi i zatytułowanym: „Denkschrift über den polnischen Grenzstreifen" żądał usunięcia z tego terytorjum ludności polskiej i osiedlenia tam półtora miljona kolonistów niemieckich wraz z rodzinami

Program ten zastosowanoby z pewnością na Pomorzu, gdyby kiedykolwiek miało się ono dostać w wilcze pazury Rzeszy.

Ale z przytoczonych w odczycie p. ministra Zaleskiego wyjątków z memorjałów, pamiętników, uchwał, przemówień niemieckich polityków, dyplomatów i generałów wynikała jedna nauka oczywista: zachłanność niemiecka nie zadowoliłaby się „kurytarzem" pomorskim; sięgałaby stopniowo po dalsze „kurytarze": katowicki, poznański, będziński, częstochowski, łódzki, płocki, wreszcie warszawski. Czyż Warszawa po trzecim

Ministrowie spraw zagranicznych Małej Ententy, pp. Benesz (Czechosłowacja), Jefticz (Jugosławja) i Titulesco (Rumunja) podpisali w Genewie układ, łączący te sojusznicze państwa w jeden blok o wspólnej polityce zagranicznej.

ZBRODNICZY ZAMACH W AMERYCE

Fot. New-York Times

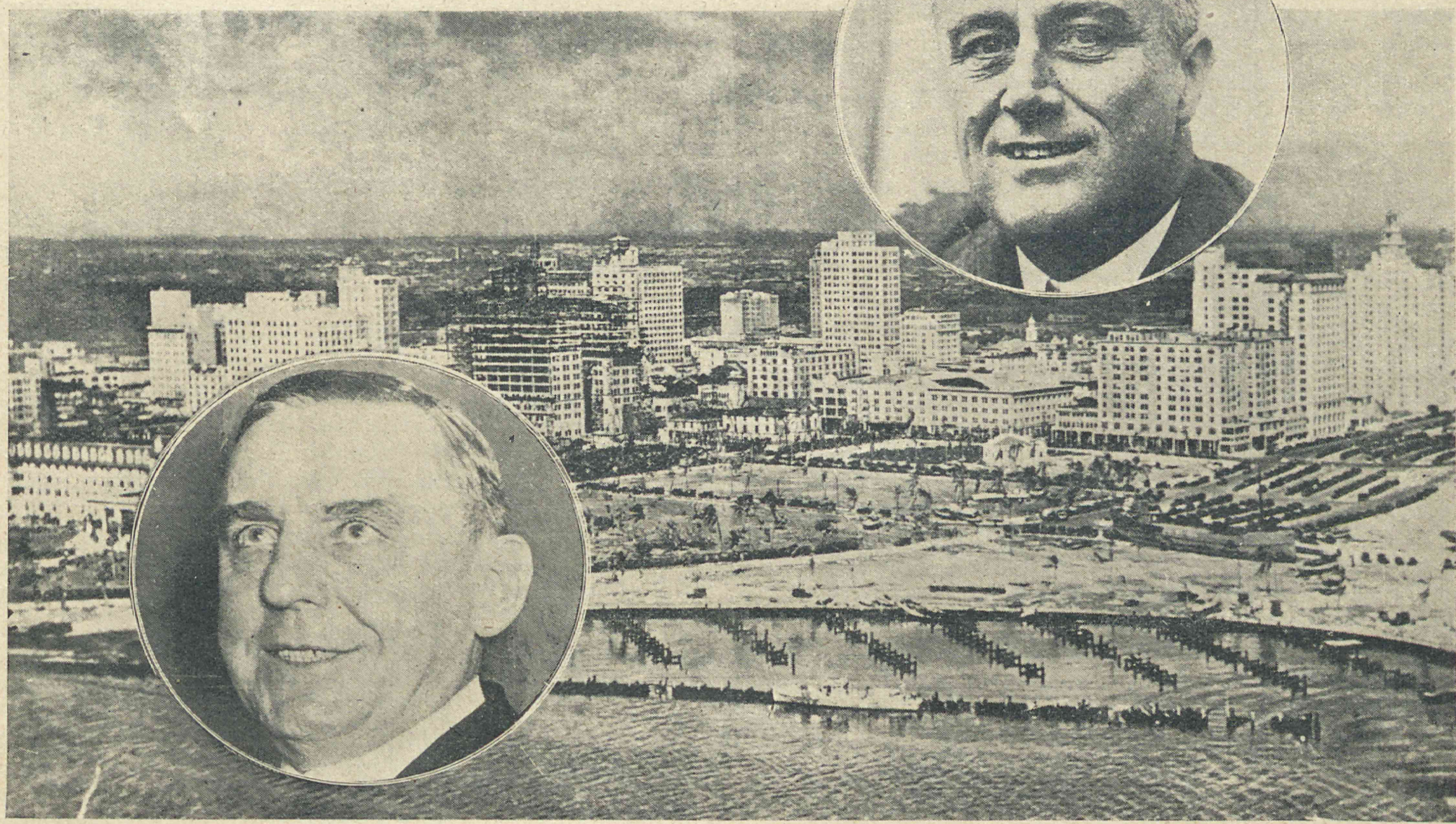

Widok miasta Miami na Florydzie, gdzie dokonano zamachu na przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. W medaljonach Roosevelt i burmistrz Czermak

rozbiorze nie należała do Prus? Czyż to niedostateczna racja do żądania powrotu jej pod rządy Berlina? Apetyty niemieckie nie mają granic.

W samą porę przypomniał to opinji publicznej p. Zaleski, gdy widma dawne znów ukazują się nad Niemcami. Jego odczyt stał się czemś więcej, niż lekcją historji, stał się uzasadnieniem polityki polskiej, tem szczerszem, że wychodzącem z ust byłego ministra spraw zagranicznych, niczem nieskrępowanego. To też licznie zebrani członkowie korpusu dyplomatycznego z ambasadorem Laroche'm na czele serdecznie gratulowali mu tej prelekcji, a natłoczona publiczność zgotowała prawdziwą owację.

Wet za wet

(V.) P. minister Beck nie wiedział jeszcze o szczęśliwej transformacji Małej Ententy, kiedy wygłaszał exposé w komisji zagranicznej Sejmu. To też nie ustosunkował się do nowej konstelacji. Oświadczenie jego w trzech punktach zasługuje głównie na podkreślenie: 1) stwierdził dodatnią ewolucję stosunków naszych z Rosją, ukoronowaną paktem o nieagresji; 2) przeciwstawił się ewentualnym decyzjom 5 mocarstw bez naszego udziału w sprawach nas interesujących; 3) dobitnie określił politykę wobec Niemiec.

Pokwitowawszy zręcznie wycofanie się kanclerza Hitlera ze znanego wywiadu w „Sunday Express", p. min. Beck wysunął następującą formułę:

„Nasz stosunek do Niemiec i ich spraw będzie dokładnie taki sam, jak stosunek Niemiec do Polski". W języku ludowym brzmi to: „Jak Kuba Bogu", w dyplomacji zaś nazywa się zasadą retorsji.

Nigdy jeszcze tak jasno nie przemówiliśmy do Niemców. Oznacza to bowiem: nie dajecie szkół polskich ludności polskiej Śląska, Warmji, Mazurów i całego pogranicza — stracicie szkolnictwo niemieckie w Polsce; pozbawiliście Polaków prawa zgłaszania własnych list wyborczych, — przy najbliższej sposobności znajdziemy prawny sposób na utrącenie kandydatur niemieckich; grozicie wydaleniem robotników polskich z Westfalji — my się postaramy pozbyć Niemców z prowincji zachodnich. Wet za wet.

Zamach na Florydzie

(J) Prezydent - elekt Roosevelt, na trzy tygodnie przed objęciem najwyższego urzędu w Stanach Zjednoczonych, stał się celem zamachu. Kule ominęły Roosevelta, ale trafiły burmistrza Chicago, Czermaka, i kilka osób z otoczenia Prezydenta, bawiących z nim w mieście Miami na Florydzie.

Sprawcą zamachu jest Włoch, i to nasuwa przypuszczenie, iż działał w porozumieniu z bandami chicagoskiemi, na których czele stoi inny Włoch, Al Capone. Zingara wprawdzie twierdzi, że, jako anarchista, miał zamiar zgładzić przyszłego Prezydenta, ale utrzymuje się opinja, że szło mu raczej o burmistrza Czermaka, człowieka, który naraził się bandytom chicagoskim i który dotrzymuje słowa, że oczyści swe miasto z mętów społecznych, narażających Chicago na miano „stolicy zbrodni".

P. Czermak, mimo ciężkiej rany, ma się coraz lepiej. Jest on Czechem z pochodzenia i ubiegłego lata bawił w Warszawie, powracając ze Starej Ojczyzny. Dzielny i sympatyczny to człowiek. Na burmistrza Chicago przeszedł z ramienia partji demokratycznej pod hasłem walki z korupcją i bandytyzmem, które opanowały miasto pod rządami „stuprocentowego" Amerykanina, republikanina Big Bill Thompsona. Bandytom zapewne zależało na pozbyciu się Czermaka w przededniu wielkiej wystawy chicagoskiej, kiedy spodziewany jest olbrzymi zjazd turystów z całego świata i kiedy dla „gangsterów" otwiera się niezmiernie wdzięczne pole „działalności".

Amerykanizacja

(L.) Amerykanizacja jest zagadnieniem nietylko metod produkcji, lecz wywołuje również interesujące zjawiska w życiu obyczajowem, rodzinnem, społecznem.

Na temat ten w Związku Zawodowym Literatów wygłosił interesujący odczyt Dr. Al. Szczepański, b. konsul generalny w Chicago. Uwypuklając wiele charakterystycznych cech amerykanizmu, prelegent zastanowił się nad zjawiskiem braku poczucia hierarchji w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych. Jak daleko prowadzi ten brak, świadczy następujące zdarzenie, zaobserwowane przez prelegenta:

Jadąc pociągiem, zwrócił uwagę na staruszka-biskupa, odmawiającego wieczorne modlitwy. Niebawem wsiadł nowy pasażer. Podszedł on familjarnie do staruszka, huknął go w plecy ciężką ręką i wrzasnął na cały wagon:

— „Jak się masz, stary koniokradzie!"

Pasażer ten był człowiekiem jeszcze młodym. Fakt taki nie może nigdy mieć miejsca w starej Europie, nawykłej do dystansu i jakiego takiego obycia.

Cóż więc charakteryzuje amerykanizację? Czyżby ten brak poczucia hierarchji? Byłoby to zbyt proste rozwiązanie problemu, choć naogół psychika amerykan nie jest skomplikowana.

Ignorancja czy brak zainteresowania

(J.) W Paryżu ukazuje się od kilku miesięcy świetnie redagowany tygodnik p. t. „Marianne". Jest to pismo radykalne, zasilane przez takie pióra, jak Edward Herriot, André Maurois, Paul Morand, Alfred Savoir.

W ostatnim numerze tego pisma znajdujemy podobiznę Ignacego Paderewskiego z podpisem:

„Czy słynny pianista będzie następcą Marszałka Piłsudskiego na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?"

Ignorancja, czy brak zainteresowania? A może jedno i drugie.

Rarańcza

(Old) Piętnaście lat minęło, jak Polski Korpus Posiłkowy, formacja po-legjonowa, która nie złożyła broni na rozkaz Piłsudskiego i nie poszła do Benjaminowa ani Szczypiorny, na wieść o haniebnym traktacie brzeskim wypowiedziała posłuszeństwo austrjakom, przedarła się przez front i ruszyła ku formującym się w Rosji oddziałom Dowbora-Muśnickiego.

Tragiczna to była chwila w życiu narodu, najtragiczniejsza dla żołnierzy polskich. Jedni ginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych; drudzy porzucali polską ziemię, w nadziei, że na obczyźnie będą mogli walczyć o jej wolność; jeszcze inni parli ku ojczystym stronom, łudząc się, że Rada Regencyjna jest już władzą narodową.

Wtedy to — jak opowiada adjutant ks. regenta Lubomirskiego, rotm. Stanisław Rostworowski — zebrała się garstka oficerów-wehrmachtowców, odosobnionych, wyklinanych: Minkiewicz, Januszajtis, Drewnowski, Górka... Dyskutują, czy rzucić szable, jak to I Brygada zrobiła już pół roku temu.

„Generał Rozwadowski protestuje: — Traktat pokojowy brzeski pozostanie fikcją, bo grzebie Austrję, Czernin przewróci się. Jeśli kiedy, to teraz zbliża się koniec wojny, a z nią rośnie walor polskiej siły zbrojnej"...

Spełniło się co do joty.

Dzisiaj te czasy ciężkie wspominamy z dumą: Wytrwaliśmy, przetrwaliśmy. Znikły swary i wyklinania. Rarańcza obchodzona jest, jak święto narodowe. Pierwszobrygadowcy czczą drugobrygadowców. „Zazdrościliśmy Wam, koledzy" — powiadają. Tak czas niweczy nieistotne różnice i przechodzi do porządku nad sporami ideowemi. Byle ideje rzeczywiście były ich podwaliną.

Lewe stronice

(J.) Do wiadomości klijentów ogłoszeniowych wydawnictw polskich podać należy następujący fakt:

Profesor Howard E. Nixon ze Sc bool of Business Uniwersytetu Kolumbijskiego w Nowym Yorku, na podstawie badań 4.400 czytelników dzienników i czasopism, przyszedł do przekonania, że wbrew ogólnie przyjętemu poglądowi, czytelnicy przedewszystkiem rzucają okiem na lewe stronice swojej codziennej lektury, zanim spojrzą na stronę prawą.

Obserwowano czytającą publiczność w ciągu 9 miesięcy w pociągach podziemnych, w poczekalniach wielkich dworców, w autobusach i stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że na jedną osobę, dającą pierwszeństwo prawej stronicy, przypadają trzy przekładające stronicę lewą.

Prof. Nixon uważa tedy, że prawa stronica jest zupełnie niezasłużenie faworyzowana przez reklamę.

W „Państwie bojaźni Bożej"

Morderstwa partyjne w Niemczech stały się zjawiskiem powszedniem. Niema dnia, aby po miastach Rzeszy nie padło kilka trupów, a niedziela i święta dostarczają obfitszy łup śmierci. Wyjątkowe jednak bestjalstwo zdarzyło się w Eisleben, mieście rodzinnem Lutra. Hitlerowskie oddziały szturmowe napadły 12 b. m. na dom komunistów, gdzie się odbywała zabawa dziecięca. Ojców i matki, osłaniających swe maleństwa, poraniono i wywleczono na ulicę. Nie oszczędzano też dziatwy. Nasza ilustracja przedstawia ulicę przed siedzibą komunistów w chwili napadu. Jak widzimy, jest ona obsadzona przez hitlerowców. Policji ani śladu.

Tam wyło dzikusów

Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki Środkowej p. t. „Od oceanu do oceanu"

6)

Cała wieś z królikiem i jego żonami na czele, Mumo z młodą małżonką oraz wojownicy przyszli się ze mną pożegnać. Wśród dzikich wrzasków każdy wyciągał rękę nie w celu uściśnienia mej dłoni, lecz z energicznem żądaniem „matabisz", t. j. czegoś w rodzaju „napiwku" lub podarku pieniężnego. Ledwo przedostałem się przez tę ciżbę i z niemałym trudem wgramoliłem do auta, a boy'e za mną. Na ryk klaksonu rozstąpiła się czarna wataha i wśród tumanów kurzu opuściłem te miłe strony, gdzie tyle doznałem wrażeń silnych, niezapomnianych.

Straciłem zupełnie rachubę czasu, nie wiedząc ani miesiąca, ani dnia wśród ciągłych zajęć, nieoczekiwanych przygód i zdarzeń. Oddychałem pełną piersią, zdala od cywilizacji i tych konwenansów i udręk, które ona na ludzi nakłada. Pomimo pierwotnych warunków życia, ciężkich trudów i niewygód, skromnej kuchni, ustawicznego narażania życia i zdrowia, byłem w doskonałej formie i nigdy lepiej się nie czułem. Często, gdy pozostawałem sam z mojemi myślami, zastanawiałem się, czy nie pozostać na zawsze w tych fascynujących stronach czarnego kontynentu, żyć na swobodzie wśród piękna natury, jeszcze zupełnie dzikiej, czy nie założyć tutaj polskiej placówki? Jednak względy rodzinne nagliły mnie do powrotu, a prócz tego ambicja, aby raz już rozpoczęty raid wśród ciężkich warunków doprowadzić do końca i połączyć długiem pasmem drogi przebytą przestrzeń między oceanem Indyjskim i oceanem Atlantyckim.

Okolica, którą wiódł marny, ledwo znaczny szlak, była bardzo górzysta, pełna zwałów kamieni, wielkich głazów, dzikich haszczy i wysokich traw. Niektóre wiraże były wprost pod kątem ostrym; w dole wielkich i głębokich kanionów wiły się ruczaje, na których spoczywały z cienkich żerdzi ułożone karkołomne mostki, tak wąskie, że nieraz ze strachem wprowadzałem na nie maszynę, oczekując chwili, gdy koła zsuną się lub cały most wraz ze mną runie w wodę.

Bezpośrednio po przebyciu mostu droga wznosiła się stromo pod kątem 45° tak niedostępnie, że ledwo pierwszym biegiem i to na pełnym gazie wóz mógł się wydostać pod górę, nie mając żadnego rozpędu. Osiedla rzadko się trafiały: były to przeważnie duże wsie murzyńskie, nieźle zabudowane szałasami z bambusowej trzciny, na jedną sklecone mi modłę. Negrzy nie witali mnie w tych stronach zwykłem pozdrowieniem lub żołnierskiem salutowaniem, jak to czynią prawie wszyscy tubylcy Afryki na widok białego, imponującego im zawsze swym „Motokari", t. j. autem. Czuło się ich wrogie usposobienie, zupełny brak szacunku i pogardę dla „bladej twarzy". W tych stronach murzyni są obywatelami kraju narówni z białymi, uprawomocnieni przez panujące w kolonjach francuskich prawa. Duży procent negrów służy w regularnych kolonjalnych wojskach, a po powrocie do swych osiedli panoszą się, uważając białych za nic i traktując ich za coś pośledniego.

Po dwóch dniach krętej drogi, wśród falistej okolicy, dostałem się do Yaunde. Jest to spora mieścina, zbudowana bez ładu i składu, handlowy ośrodek, miejsce wypoczynku podróżnych, udających się do Europy, oraz stacja kolejowa. Posiada Yaunde coś w rodzaju hotelu-restauracji, jest tu parę faktorji z najdziwniejszą tandetą przeważnie niemieckiego pochodzenia, którą biali jak mogą raczą negrów, zawsze łasych na to, co przychodzi z Europy. W jednej z faktorji dostałem oliwy i benzyny, zresztą w bardzo złym gatunku i drogo. Spuściłem oliwę z motoru — była zupełnie czarna i wodnista i żadnych cech oliwienia nie posiadała.

Drogi samochodowej z Yaunde do Duala (port na Oceanie Atlantyckim) niema. Jest zato linja kolejowa wąskotorowa, niedawno wykończona, dzięki staraniom bardzo energicznego gubernatora, p. Antonetti, korsykańczyka, zamieszkałego w Bangui. Antonetti dużo dla kolonji zrobił i jeżeli we Francuskiej Afryce Nadrównikowej (A. E. F.) są jakie takie drogi, telegrafy, parowce na rzece Kongo, a w miastach banki, hotele i ośrodki kultury, tylko jemu jedynie można to zawdzięczać.

Pozostawiwszy auto w Yaunde, postanowiłem udać się kolejką do Duala.

Pociąg, wznosząc tumany cienkiego, rdzawego pyłu, walił z zawrotną szybkością z góry nadół, to znów gramolił się uciążliwie pod górę. Maszynista, ogromny murzyn, rzadko kiedy będący w trzeźwym stanie, dziwne rzeczy wyprawiał z lokomotywą; gdy naprzykład miał zamiar stanąć, hamował tak raptownie, że połowa pasażerów spadała z ławek, rozbijając sobie nosy i otrzymując zazwyczaj na kark istną nawałnicę walizek i pakunków, spadających z siatek. Na wirażach, których było bez liku, pociąg szedł z zawrotną szybkością, tak że była obawa, iż wypadnie z szyn.

Na jakiejś małej stacyjce, zwa-

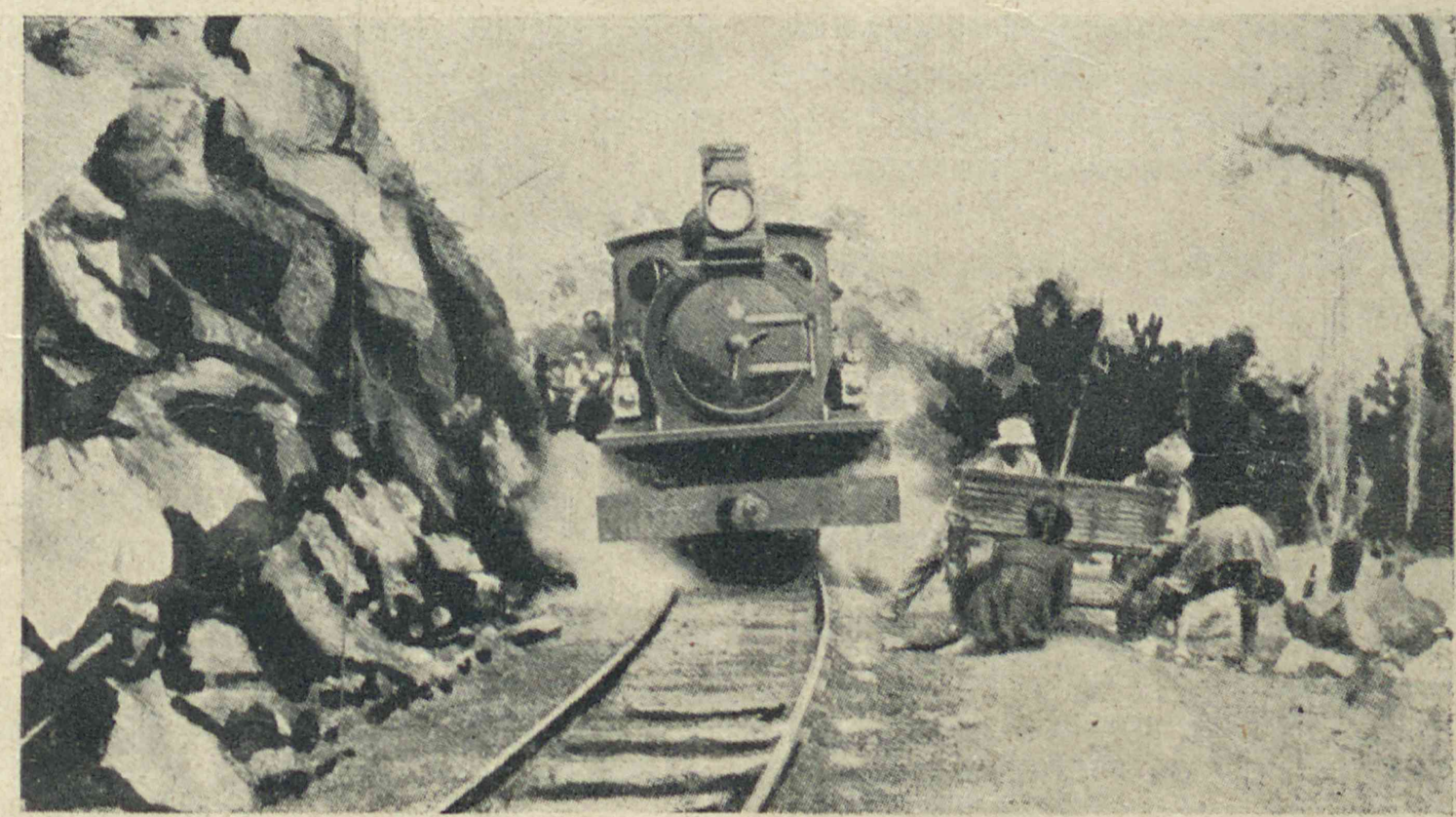

Na zakręcie za skałą o mały włos nie wpadliśmy na drezynę.

Wóz ledwie mógł się wydostać pod górę.

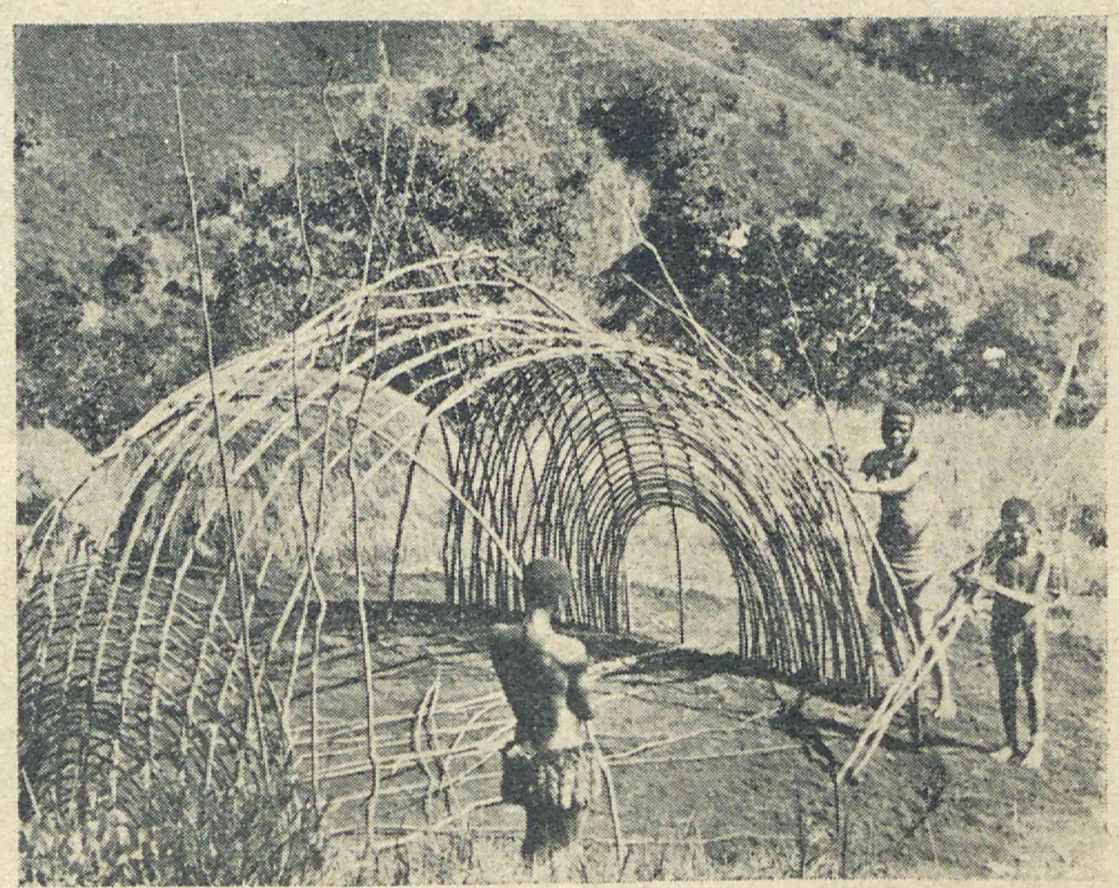

Budowa szałasu z bambusowej trzciny.

nej „poste a bois", gdzie lokomotywę zaopatrywano w świeże paliwo, maszynista zniknął i pociąg pod parą stał w bezradnem oczekiwaniu. Okazało się potem, że maszynista poszedł do swej znajomej do pobliskiej wioski i tam mile czas spędzał, popijając tęgo w towarzystwie dam. Dopiero po paru godzinach pijaniusieńkiego załadowano na parowóz, a pasażerowie z zapartym oddechem oczekiwali epilogu tej przygodnej hulanki. Widocznie, aby o nim nie zapominano, uwiesił jakiś ciężar na rączce od gwizdka, taki, że przez 3 godziny jechaliśmy wśród przeraźliwych gwizdów rozdzierających uszy. W innem miejscu na zakręcie za skałą o mały włos nie wpadliśmy na drezynę, spokojnie stojącą bez żadnej opieki na torze.

Na dwóch-trzecich drogi do Duala leży stacja Edea, sławna z czasów wojny światowej. Rozegrała się tu krwawa bitwa pomiędzy wojskami francuskiemi, angielskiemi i belgijskiemi a niemieckiemi, którą Niemcy sromotnie przegrali. Ofiarami krwawej masakry padło kilka tysięcy murzynów, wielce zdumionych, dlaczego właściwie biali każą im mordować swoich niewinnych braci.

Z wielką ulgą i radością z powodu kończącej się podróży ujrzeliśmy ze wzgórza ocean i kłęby dymu, zwiastującego Dualę. Duala leży u ujścia rzeki Sanaga. Wśród drzew mangowych i pięknych palm w malowniczym zakątku u podłoża góry leży Duala, francuski port na oceanie Atlantyckim. Molo, do którego dobijają największe parowce, jest świeżo wykończone. Piętrzą się tu całe góry towarów, oczekujących załadowania w głąb kraju lub też na eksport. Głównemi produktami handlu są: olej palmowy, kakao, kopal, kauczuk, kola, orzeszki ziemne (cacauettes), kawa, bawełna, owoce, kość słoniowa, której wielkie ilości tą drogą idą do Europy, złoto i miedź z kopalń Oubangui Chari, skóry zwierząt futrzanych, w które obfitują podzwrotnikowe lasy etc. Duala jest bardzo dużem centrum handlowem; wiele faktorji doskonale zaprowiantowanych, Bank de l'A. E. F. i wielki hotel, w którym się zatrzymałem.

Zająłem numer z elektrycznem światłem i bieżącą wodą; prawdziwe łóżko z siatką od moskitów zrobiło na mnie wrażenie, a wanna wprawiła w świetny humor, dając przedsmak europejskiej cywilizacji.

Poszedłem zwiedzić miasto; w forcie stały trzy wielkie transportowe parowce i transatlantyk „Asie", należący do „Chargeurs Reunis". Ruch gorączkowy portowego miasta, terkotanie dźwigów okrętowych i portowych na szynach, głos tubalny syren, zgiełkliwe krzyki tragarzy, zlanych potem, mieszały się w oszałamiającą kakofonję dla ucha podróżnika przywykłego do spokoju i ciszy głuszy afrykańskiej. Gorąco stawało się coraz większe, to też powróciłem do hotelu, gdzie w przestronnym „hallu" przy „whisky and soda" powierzyłem moje kształty wygodnemu leżakowi.

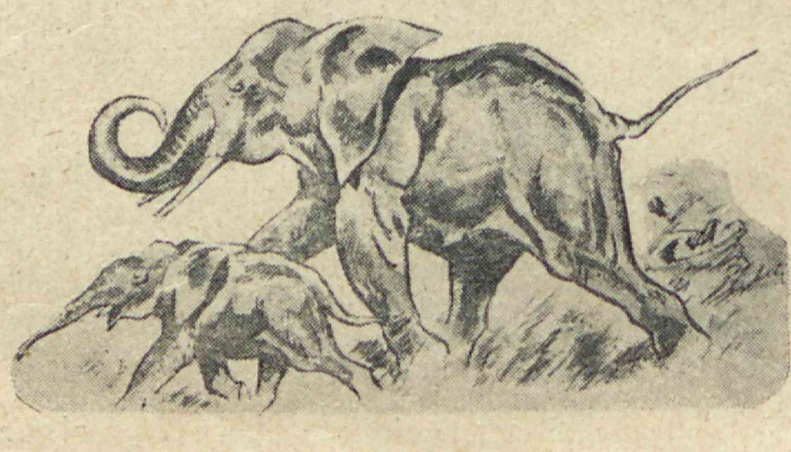

Zawieram znajomość z całem towarzystwem, mniej lub więcej ciekawem i na miłej pogawędce czas szybko schodzi aż do obiadu. Przyznam się, że z niekłamaną przyjemnością obcuję z białymi, słucham pożądanej francuszczyzny lub angielskiego, delektuję się gazetami, słowem, wstępuję jakby w nowe zapomniane życie.

Jest dziś 1-szy marzec. Jakże szybko minął ten okres od czasu mego wyjazdu z Kongo. Szmat drogi przebyty, moc zdarzeń i przeżyć za sobą, bez liku wspomnień na przyszłość.

Po doskonałym obiedzie udaję się na „siestę", którą każdy biały praktykuje. Jest to konieczny spoczynek w tropikalnym klimacie. Z przykrością konstatuję, że miękkie łóżko jest tylko burżuazyjnym wymysłem i daleko się lepiej śpi na zwyczajnem łóżku składanem polowem, niż na miękkim materacu, rozleniwiającym ciało i grzejącym niemożliwie.

Strój mój podczas kolacji budził ogólną sensację. Francuzi w kolonjach ubierają się w białe kostjumy w przeciwieństwie do Belgów i Anglików, którzy noszą jaskrawe koszule i krótkie do kolan sięgające spodenki, odsłaniające część uda. Strój ten jest bardzo wygodny i idealnie dostosowany do miejscowych warunków, lecz francuzi ze zdziwieniem spoglądali na mnie, zazdroszcząc w głębi ducha swobody mojej garderoby. Zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi, a na dzień następny zaproszono mnie do państwa Bellon, na pokaz kina oraz koncert radjowy, co z przyjemnością przyjąłem.

Wojciech Marylski

(D. c. n.).

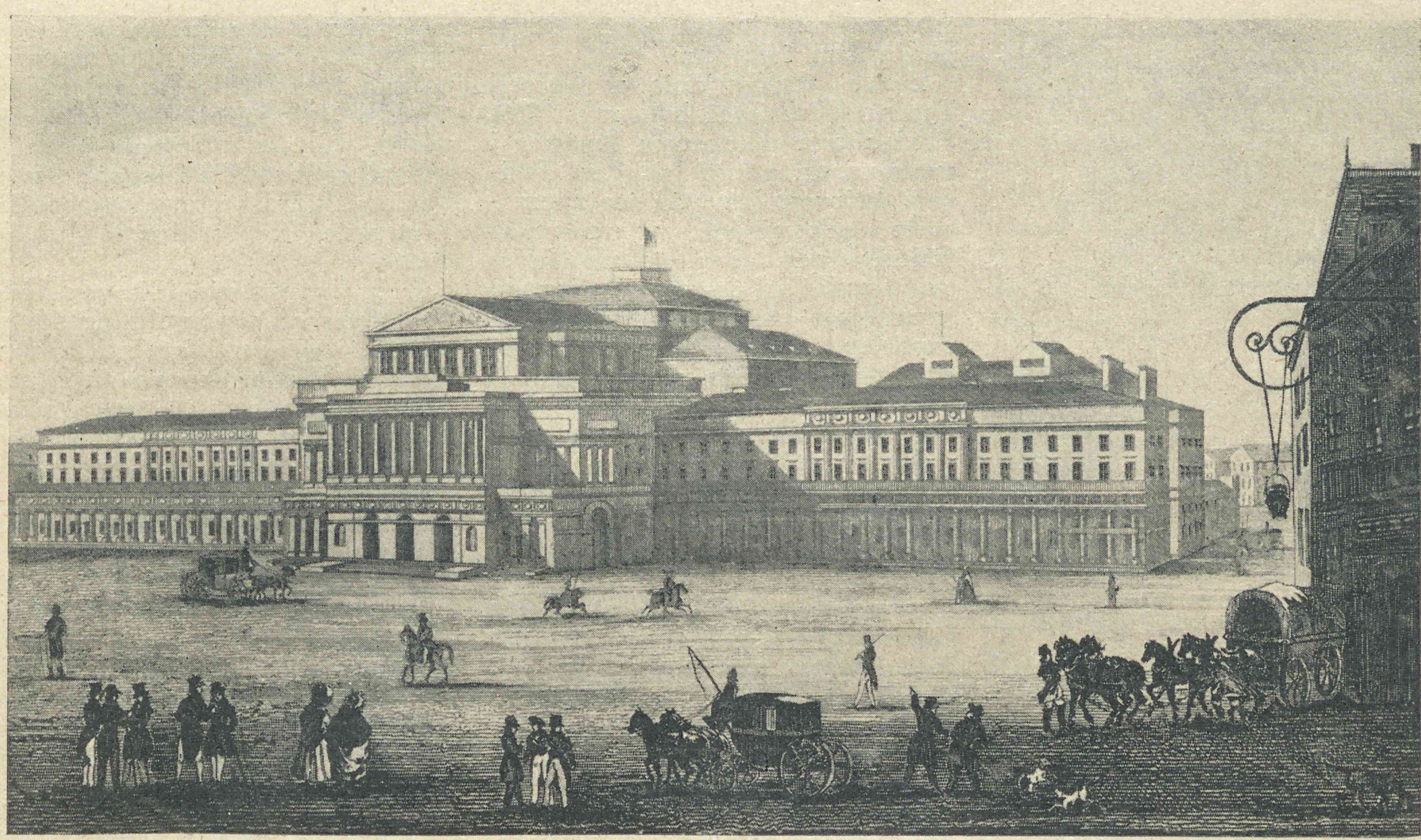

(Staloryt A. Pilińskiego) *Wielki Teatr Narodowy. Widok z r. 1832* *(Ze zbiorów Bibl. Krasińskich)*

STULECIE TEATRU WIELKIEGO

Dnia 24 lutego 1933 r. upływa pełne sto lat od pierwszego przedstawienia operowego w Teatrze Wielkim, które było zarazem inauguracją nowego gmachu, mającego odtąd stać się siedzibą muzyki i słowa żywego. Dotychczasowy bowiem gmach Teatru Narodowego przy placu Krasińskich (dziś już nie istniejący) nie odpowiadał potrzebom i wymaganiom technicznym; rozwijająca się stolica musiała pomyśleć o teatrze, mogącym zadowolić jej artystyczne zainteresowania.

Miasto, które własnym kosztem budowało teatr, postanowiło wznieść go w miejscu, zajętem przez bazary Marywilu, które chyliły się ku upadkowi i były przedsiębiorstwem deficytowem. Zdecydowano więc zabudowania te rozebrać, a przestrzeń pomiędzy dzisiejszemi ulicami Wierzbową i Marszałka Focha przeznaczyć pod gmach Wielkiego Teatru Narodowego. Na czele komitetu budowy stanął Namiestnik królewski, gen. Józef Zajączek. Sporządzenie planów powierzono słynnemu już architektowi Antoniemu Corazzi'emu, który niejednym pięknym gmachem ozdobił Warszawę.

Dnia 19 listopada 1825 r. odbyło się wobec najwyższych dostojników, przedstawicieli władz i elity towarzyskiej uroczyste położenie kamienia węgielnego. W specjalnej skrzyni z ciosu umieszczono wszelkiego rodzaju gatunki monet, pisma perjodyczne, jakie się tego dnia ukazały, wywód słowny, spisany na miejscu, dzieła Wojciecha Bogusławskiego, oraz blachę cynkową z następującym napisem:

Za panowania Najjaśniejszego Aleksandra I Cesarza Wszech Rosji, Króla Polskiego, Namiestnik królewski Józef książę Zajączek, wobec ministrów, prezesa dyrekcji teatrów i członków tejże d. 19-go listopada 1825-go r. założył kamień węgielny na budowę Teatru Narodowego w stolicy, kosztem tejże wzniesionego, podług planów Antoniego Corazzi.

Kierownictwo robót, które trwały bez mała siedem lat, powierzono Ludwikowi Kozubowskiemu, a koszt budowy wyniósł 636.822 rb. 16½ kop., czyli blisko cztery miljony ówczesnych złotych polskich. Z końcem roku 1832 gmach i urządzenia wewnętrzne były gotowe. Corazzi, komponując plany, miał dwa zadania do rozwiązania. Przedewszystkiem stworzenie właściwego gmachu teatralnego, oraz wzniesienie kompleksu sklepów, mających zastąpić niegustowne i stare bazary marywilskie. Problem ten, jak każdy może przekonać się naocznie, rozwiązał znakomicie. Oba skrzydła „pod filarami" organicznie wprost łączą się z samym teatrem, tworząc całość monumentalną, lecz równocześnie dającą wrażenie dziwnej lekkości. Architekturę gmachu utrzymano w stylu neo-klasycznym, łącząc kolumny toskańskie z jońskiemi i korynckiemi, która to kombinacja dała efekt bardzo harmonijny. Według pierwotnych planów na szczycie gmachu miał stanąć posąg Apollina, otoczonego muzami, jednakże wkońcu projektu tego zaniechano.

Na frontonie natomiast umieszczono płaskorzeźby Acciardiego, przedstawiające Anakreonta z muzami tańca i muzyki, na gzymsie zaś parterowej kolumnady znalazły się gipsowe płaskorzeźby prof. Malińskiego, złożone z 65 figur, wyobrażających powrót Edypa i ludu z igrzysk olimpijskich.

Wnętrze sali ozdobiły malowidła Pawła Benedetti'ego i Sałackiego. Płaskorzeźby były dziełem dłuta Malińskiego, Hegla i Acciardi'ego, a piękny świecznik, zwie-

N^go I. ZA POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI

WIELKI TEATR

Dziś w NIEDZIELĘ, dnia 24 Lutego 1833 roku
daną będzie
OPERA ROSSINIEGO
w 2 aktach, z Włoskiego tłumaczona, pod tytułem:
CYRULIK SEWILSKI.

OSOBY.

Scena w Sewilli.

ZAKOŃCZY
ZABAWA TANCERSKA.

Nikt bez Biletu na żadne miejsce wpuszczonym nie będzie.

CENA MIEJSC.

Zacznie się o godzinie 7méj, skończy się o 10téj.

Afisz pierwszego przedstawienia.

szający się ze stropu, pochodził z warsztatów Rahna i Wertheima. Na I-szem piętrze umieszczono podobizny Kochanowskiego, Bogusławskiego, Racine'a, Szekspira, Moljera i Mozarta.

Dnia 24 lutego 1833 r. odbyło się uroczyste otwarcie teatru, jak również pierwsze przedstawienie. Pod batutą pierwszego dyrektora opery polskiej, Karola Kurpińskiego, odegrano w obecności Namiestnika Królewskiego „Cyrulika Sewilskiego". Obsadę stanowili: słynny tenor Dobrski, Szczurowski, zmarła w dwa lata później znakomita artystka Katarzyna Aszperbergerowa, Zdanowicz, Polkowski, Daszkiewiczówna, Jastrzębski, Zieliński, Rywacki, Świergocki, Krzesiński i Jędrzejowski.

W kilka miesięcy potem, dnia 14 września tegoż roku „pod filarami" otwarto cukiernię Wawrzyńca Lourse'a, która w roku bieżącym też obchodzić będzie setną rocznicę swego istnienia.

W kilka lat potem, bo w r. 1841, kiedy okazała się potrzeba składów na dekoracje, oraz pracowni, do zabudowań teatralnych włączono kompleks gmachów po komorze konsumpcyjno-składowej (Trębacka 10), które wraz z Teatrem Rozmaitości utworzyły obecny nieregularny czworobok, zamknięty placem Teatralnym, Wierzbową, Trębacką i Nowo-Senatorską, dziś Marsz. Focha.

Miasto dbało o swój teatr i było z niego dumne. W r. 1844 dokonano szeregu wewnętrznych przeróbek, wybudowano Sale Redutowe, foyer i sale bufetowe. Gruntowniejsze inowacje przeprowadzono w r. 1870, rozszerzając scenę i widownię, założono nową wentylację i oświetlenie gazowe. Wówczas to zeszpecono gmach niesmacznym podjazdem żelaznym.

Drugą ważną datą w historji Teatru Wielkiego był rok 1889. Serdecznym opiekunem gmachu i protektorem sztuki był gen. Palicyn, który widząc, że teatr przestaje odpowiadać wymaganiom techniki, postanowił go przebudować i wyjednał na ten cel od rządu rosyjskiego kwotę 650.000 rb., akceptując plany Bronisława Żochowskiego. Przebudowa trwała blisko dwa lata, a ostateczny koszt wyniósł 712.000 rb., czyli znacznie więcej, aniżeli pierwotna budowa.

Do elewacji frontowej, w miejsce szkaradnego podjazdu żelaznego, dostawiono portyk murowany z płaskorzeźbami prof. Malińskiego, a na potężnych kolumnach oparto balkon. Nad balkonem wznosiły się dawniej dwa rzędy kolumn, z których drugi, dla uzyskania miejsca, zniesiono. Inowacja ta spotkała się z ostrym protestem żywiołów artystycznych, z Wojciechem Gersonem na czele. W głównem wejściu otwarto dwie kasy, wybudowano schody marmurowe, oraz sześć klatek schodowych. Foyer I-szego piętra ozdobiono malowidłami w stylu Ludwika XVI. Wnętrze sali, powiększonej o 100 miejsc i obliczonej, jak obecnie, na 1200 widzów, utrzymano w jasnych tonach ze złoceniami i ornamentacjami à la Ludwik XVII i rococo. Scena otrzymała nową kurtynę z malowidłem Strzałeckiego, przedstawiającem „Opinję publiczną". Samą scenę rozszerzono znacznie; zaopatrzono w ruchomą podłogę i wyposażono we wszystkie udoskonalenia techniczne, jakiemi rozporządzał teatr na schyłku ubiegłego wieku. Gmach otrzymał ponadto własną elektrownię i bogate oświetlenie elektryczne, zastępujące niezbyt miłe i niebezpieczne światło gazowe.

Dnia 12 września 1891 r. odbyło się pierwsze uroczyste przedstawienie w nowoprzebudowanym gmachu. Na program złożyły się: uwertura Beethowena, prolog pióra Marjana Gawalewicza, w którym rolę muzy grała Rakiewiczowa, genjusza poezji Barszczewska, a genjusza muzyki Józef Kotarbiński. Prolog kończył żywy obraz. Następnie odegrano „Pana Beneta" z Mieczysławem Frenklem, Jadwigą Czaki i najstarszym obecnie z żyjących artystów polskich Władysławem Krogulskim. Widowisko zakończył IV akt opery Boity „Mefistofeles" oraz balet „Taniec wioślarski".

Przez sto lat Teatr Wielki spełniał doniosłą misję krzewienia muzyki i piękna słowa, będąc przez lata niewoli teatrem rządowym, a po ewakuacji Warszawy od r. 1915 przechodząc wraz z innemi scenami na własność miasta. W ostatnich latach Teatr Wielki przeżywał ciężkie koleje i omal nie uległ zamknięciu wskutek nieudolnej gospodarki. Ostateczności zapobiegło Towarzystwo Opery Narodowej, które we własnym zarządzie podtrzymuje tradycje jednej z najstarszych scen polskich.

Żelazny podjazd, istniejący od r. 1870 do roku 1889.

Z gmachem Teatru Wielkiego łączą się bardzo ściśle dzieje Teatru Rozmaitości, o którym w dniu jubileuszu nie można zamilczeć. Kiedy w lutym 1833 r. zamknięto Teatr Narodowy przy pl. Krasińskich, pozbawiona dachu nad głową trupa nie mogła zadawalać się prowizoryczną gościną w niewielkiej salce Tow. Dobroczynności i zainstalowała się pod nazwą „Nowego Teatru Rozmaitości" w głównej sali redutowej, dając w dniu 13 września pierwsze przedstawienie, złożone z dwuch sztuk: „Nowy teatr" oraz „Werter". Przez dwa lata dano ogółem 448 przedstawień, które wypełniały przeważnie jednoaktówki. Dnia 30 listopada 1835 r. zawieszono przedstawienia w salach redutowych i rozpoczęto od strony ul. Wierzbowej budowę teatru Rozmaitości, która trwała półtora roku. Przez ten czas przedstawienia komedji i dramatu odbywały się na scenie Teatru Wielkiego. Dnia 16 listopada 1883 r. „Rozmaitości" po raz pierwszy zostały zniszczone przez pożar i zespół znowu przeniósł się blisko na rok do sal redutowych. W dzień zaduszny 1919 r. „Rozmaitości" spaliły się powtórnie, by odrodzić się z popiołów — już jako Teatr Narodowy, spadkobierca wielkich tradycji Wojciecha Bogusławskiego.

Jeśli chodzi o znaczenie Teatru Wielkiego, w ciągu tych stu lat, jako sceny polskiej, to jest ono olbrzymie, zwłaszcza w długim okresie niewoli. Niezależnie od krzewienia zamiłowania do muzyki, teatr ten odgrywał doniosłą rolę w propagandzie polskości. Przez dziesiątki lat był świątynią, w której rozbrzmiewało publicznie słowo polskie. Z tej sceny przemawiali niemal wszyscy najwybitniejsi pisarze od Fredry począwszy, a na Wyspiańskim skończywszy. Tu olśniewali potęgą swoich talentów i kunsztu aktorskiego najwięksi potentaci sceny polskiej: Żółkowski, Królikowski, Ładnowski, Rapacki, Frenkel, Solski, Modrzejewska, Bakałowiczowa, Aszperbergerowa, Popiel - Święcka, Lüdowa i wiele, wiele innych. Plejada wielkich imion i wielkich talentów.

Obecnie Teatr Wielki zaczyna drugi wiek swego istnienia. Zaczyna w warunkach bardzo ciężkich, w okresie powszechnego kryzysu. Wątpić nie należy jednak, że okres ten minie i wówczas największa scena warszawska znowu zacznie pisać swoją historję złotemi zgłoskami.

Jan Sokolicz Wroczyński

ŚWIAT TEATRU

Warszawskie Teatry Miejskie

W Narodowym „Most" Jerzego Szaniawskiego, po bardzo pięknym sukcesie u prasy i wcale dobrej frekwencji (jak na dzisiejsze czasy) — 28 seryjnych przedstawień — ustępuje od soboty dn. 25 b. m. miejsca napisanej okrągło przed stu laty, a od lat 30-tu nie wznawianej, komedji widowiskowej Aleksandra Dumas'a (ojca): *„Kean"* czyli: *„Genjusz i szaleństwo"* w nowem opracowaniu tekstu, dokonanem przez dra J. Brodzkiego.

Ze względu na wysiłek inscenizatorski Karola Borowskiego, pieczę dekoracyjną i kostjumową Karola Frycza oraz nową wielką rolę Józefa Węgrzyna zanosi się na prawdziwy ewenement repertuarowy Teatru Narodowego.

W Nowym *„Cień"* ze stuprocentowym tryumfem Marji Malickiej — przesłoni na długie jeszcze tygodnie dalsze plany repertuarowe cieszącego się wielką frekwencją teatru.

Teatr Letni po wesołem, dostatniem żniwie sielsko-filmowego „Uśmiechu" (33 przedstawienia!) częstuje już od czwartku świeżo wypieczonym *„Smacznym chlebem kłamstwa"* poczytnej, dowcipnej marki pisarskiej: Bruno Winawer. Podają ten chleb z gościnną rozrzutnością talentów: Mieczysława Ćwiklińska, Jerzy Leszczyński, Józef Orwid, Hanna Różańska, Janina Janecka, Peszyńska, Artur Socha, R. Kierczyński pod kierunkiem niestrudzonego Emila Chaberskiego.

„Pokój Nr. 17 na 3 piętrze" w teatrze Kameralnym

Teatr Kameralny w Warszawie wystawił sztukę węgierskiego pisarza Zillahy'ego „Pokój № 17 na 3 piętrze".

Zbudowana jest ona z dwu elementów. Jeden — to intrygująca, zawikłana, pełna zagadek akcja, utrzymująca widza w napięciu aż do ostatka — drugi — zagadnienie psychiki współczesnej panienki i wogóle stosunku młodego pokolenia do rodziców.

— My się nigdy już nie zrozumiemy, mamo! — mówi Marietta Keller, szesnastoletnia zabójczyni swego kochanka.

Ta właśnie postać Marietty — pokazana epizodycznie — jest z psychologicznego i społecznego punktu widzenia — najbardziej interesującą w sztuce.

Na czoło zespołu aktorskiego wysuwa się bezspornie Karol Adwentowicz, który w roli ministra Kellera daje postać prawdziwą i wstrząsającą przy zachowaniu całej prostoty i szczerości.

Szlachetną linję w roli baronowej ma Ewa Kunina. Pozatem wymienić należy opanowanego i dystyngowanego Artura Kwiatkowskiego i świetny epizod Dehnelówny.

J. M.

Audiatur—publiczność

Na marginesie Shaw'a na Powiślu.

Krytyka stołeczna z rzadką jednomyślnością „skrzywiła się" na „Majora Barbarę" i na Shaw'a, wykonanie, reżyserję, wszystko z wyjątkiem Jaracza. W poprzednim numerze zanotowaliśmy na tem miejscu ekstrakt tych minorowych opinji.

Chcemy być sprawiedliwi. Oddajmy z kolei głos *alterae parti:* publiczności. W myśl zasady, że nad teatrem sądy sprawuje krytyka, lecz wyrok ogłasza — sala widzów. Niech mówi widzownia ateneiska.

Nie potrzeba robić wywiadu. Wystarczy wejść do dobrze zapełnionego gmachu kolejarzy i zająć miejsce. Zaraz w połowie aktu pada pierwszy strzał: oklaski wśród akcji. Potem coraz częściej, co akt, co scena, co silniejsze powiedzenie — tyraljera galerji (i krzeseł) coraz głośniejsza; nastrój sali coraz gorętszy. Wyrok wydany: Najwidoczniej jest dużo ludzi w Warszawie, do których wyszukane, kulturalne majorowe barbaryzmy Shaw'a przemawiają.

W dobrze zapełnionym teatrze każda sztuka jest dobra. I każde wykonanie. Zwłaszcza, gdy publiczność — jak ta z Ateneum — ma faworytów, których odnajduje nawet przy Jaraczu. Jedno takie nazwisko, młodego komika, *vox* Powiśla przekazuje śródmieściu: Woszczerowicz. Przekazałby może i parę innych.

Z szatni zabieramy na drogę parę aforyzmów: Bycza sztuka. Jaracz prima. Grają klasa.

Barbara, jak przewidywaliśmy, nie daje się.

„Humor krzepi" w „Morskiem Oku"

Rewja „Humor krzepi", zmontowana przez Jerzego Boczkowskiego w „Morskiem Oku", zawiera istotnie kilka momentów dobrego humoru. Zwłaszcza Krukowski, Skonieczny, milutka Winiarska i Minowicz — są jego reprezentantami.

Teksty zupełnie poprawne. Żabczyński czarujący. Dekoracje bardzo ładne. (m).

Teatry paryskie żyją wznowieniami

Wiele danych zdaje się wskazywać na to, iż współczesna twórczość dramatyczna francuska jakby... osłabła. Dwadzieścia dziewięć teatrów dramatycznych, czynnych w bieżącym sezonie w stolicy Francji, gra w tej chwili aż 20 sztuk wznowionych, t. z. *reprises*. Nowych utworów w repertuarze paryskim jest tylko 12, w czem 9 francuskich — ośmiu autorów: Bourdet, Savoir (2 sztuki), Marchand, Nivoix, Passeur, Amiel, Noë, Mortier. — Najcharakterystyczniejsze jest to, że na tych kilkudziesięciu afiszach Paryża nie ma ani jednej farsy — tego do niedawna tak poczytnego *article de Paris* — bądź nowej, bądź wznowionej. Jest jeden tylko t. zw. wodewil, wznowiony świeżo po roku przerwy w teatrze popularnym „De jazet". To słynna koszarowa „Tir au flanc", dobiegająca w tym samym teatrze do *5.000-nego* przedstawienia! (Premjera odbyła się parę lat przed wojną).

Ryszard Wagner

(Wspomnienie w 50-tą rocznicę śmierci)

Dnia 13 lutego 1883 roku w weneckim Palazzo Vendramin, nad Canal Grande, zgasł cicho, niespodzianie jeden z największych genjuszów muzycznych, jakich znała ludzkość — Ryszard Wagner.

Twórczość jego była punktem

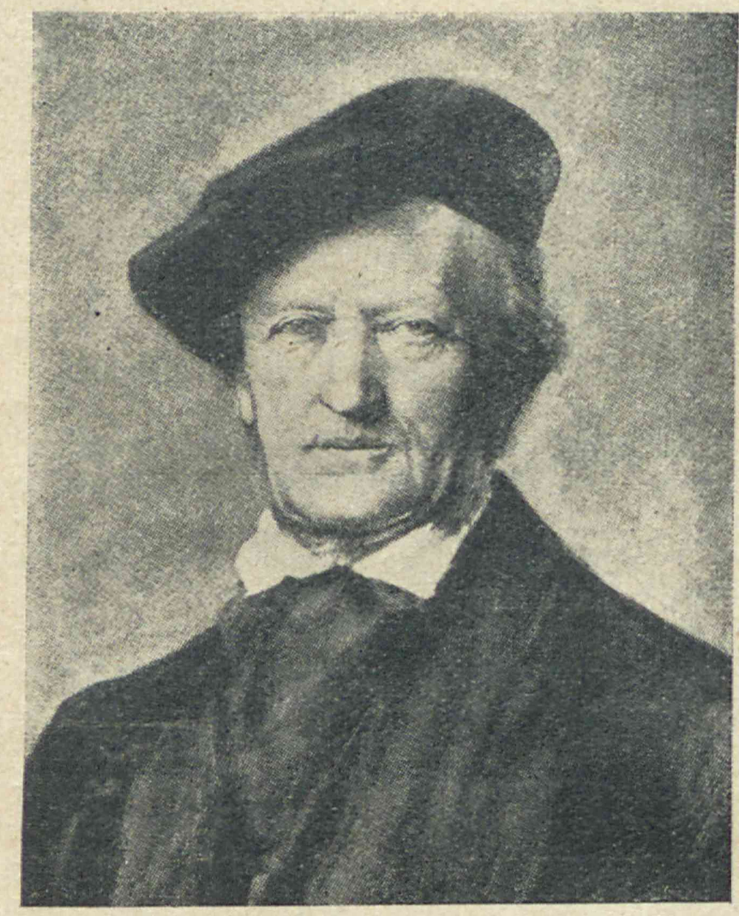

Ryszard Wagner w/g portretu Lenbacha z 1874 r.

zwrotnym w rozwoju myśli muzycznej wieku XIX-go, złotego wieku muzyki, sięgając i poza nią: w dziedzinę teatru, literatury, filozofji.

Wpływ Wagnera był tak wielki, że musiał wywołać reakcję we wszystkich krajach, które przelękły się wprost zatraty odrębności w pewnej dziedzinie kultur narodowych. Ale w samej nawet reakcji tkwiły pierwiastki wagnerowskie. Najmocniej odczuła to Francja, niezawsze zyskując na tem. Pierwszym, który krzyknął na alarm, był Erik Satie, za nim poszli inni tam i w innych krajach.

Dziś możemy już podsumować rezultaty półwiekowej walki i zastanowić się objektywnie nad dziełem Wagnera. I przyznać musimy, że pozostało ono w całości, że przetrzymało burzę zwycięsko, że nie dotknęło go nawet wielkie przewartościowanie wojenno-rewolucyjne. Obserwujemy ciekawy fenomen: przy ogólnym upadku instytucyj operowych, dramaty muzyczne Wagnera są niemal jedynemi wyjątkami, zapewniającemi frekwencję mas, i to nietylko w Niemczech. Tam daje się zauważyć nawet pewnego rodzaju odrodzenie wagneryzmu, przejawiające się w częstszych i bardziej starannych wykonaniach, we wzroście — zresztą już olbrzymiej — literatury wagnerowskiej, we wznowieniu w roku bieżącym przerwanych przez śmierć wdowy Cosimy i syna Zygfryda Wagnerów przedstawień w Bayreuth, tej Mecce wagnerzystów, itd.

To samo dzieje się i w innych krajach, z Francją na czele, gdzie kult Wagnera przetrwał nawałnicę i skonsolidował swe zwycięstwo.

Wyszła dopiero co z pod pióra znakomitego francuskiego pisarza-biografa, Guy de Pourtalèsa, monografja o Ryszardzie Wagnerze, jedno z lepszych dzieł tego autora. Wszystkie sceny francuskie wznawiają z największym pietyzmem cykle wagnerowskie. Nawet młodzieńcze „Rienzi" o librecie rewolucyjnem i „Latający Holender" — odnajdują się na afiszach. Najczęściej figurują — t. zw. „dostępne dla szerokiej publiczności": „Tannhäuser" i „Lohengrin", ale kultura wagnerowska zrobiła takie postępy wśród mas, że do powyższej kategorji zaliczyć dziś już możemy cały niemal „Ring", t. zn. tetralogję z czterech dramatów złożoną, a więc: „Złoto Renu", „Walkirje", „Zygfryd" i „Zmierzch Bogów", a nawet „Śpiewaków Norymberskich". Ta komedja muzyczna, a z nią „Tristan i Izolda", wreszcie końcowy w kolejności „Parsifal" — pozostają nadal najwyższemi szczytami, do jakich wzniósł się genjusz Wagnera.

M. Kl.

Tydzień muzyczny

W ubiegły piątek mieliśmy w Filharmonji wyjątkowo ciekawy koncert. W pierwszej części grał świetny pianista włoski, p. Carlo Zecchi, członek jury ostatniego konkursu szopenowskiego w Warszawie.

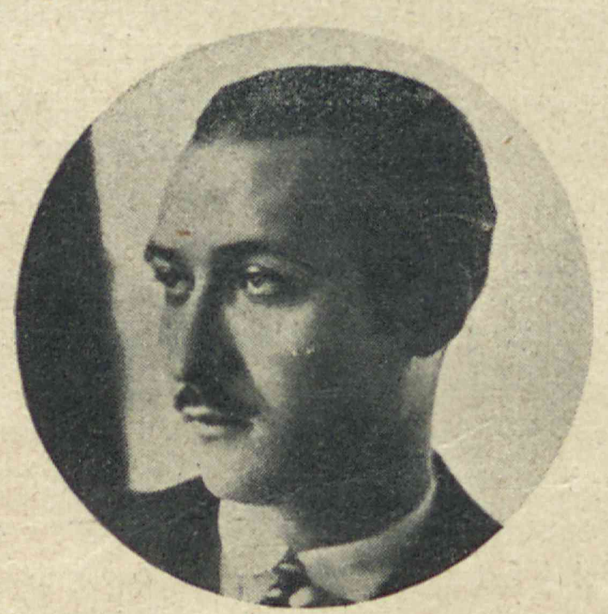

Carlo Zecchi

Wykonał koncert Mozarta № 21, koncert „G" Vivaldiego i Sonaty Scarlattiego. Z punktu widzenia techniki, stylu i kultury—istne perły wykonania. Utwierdziły nas w zachwycie dwa dalsze występy: w Radio 10-ego i w Konserwatorjum 21-go b. m.

W drugiej części koncertu usłyszeliśmy, pod dyrekcją frankfurckiego kapelmistrza i profesora leningradzkiego konserwatorjum, p. Juljusza Ehrlicha, kompozycje dwuch młodych rosjan. Wł. Vogla Dwie Etiudy na orkiestrę i D. Szostakowicza Suitę z baletu „Złoty Wiek", — obie wykonane w Polsce po raz pierwszy.

Ukazały nam one dwa wybitne talenty. Dymitr Szostakowicz — nawiasem mówiąc, laureat, jako pianista, pierwszego konkursu szopenowskiego — interesuje przedewszystkiem błyskotliwością orkiestracji i efektów rytmicznych. Z wybranego dzieła trudno zresztą wyrobić sobie dokładniejsze pojęcie o tym nieprzeciętnym muzyku.

Głębsze wrażenie wywarła kompozycja Vogla. Znać w niej lwi pazur. Była to rzadka, ale wyraźna demonstracja tego, że najbardziej modernistyczne metody nie wykluczają pełnego i bardzo pięknego brzmienia orkiestry. Muzyka nawet „atonalna" może i powinna być dla ucha przyjemna.

M. Kl.

Kronika muzyczna

W zeszłą niedzielę odbył się w Filharmonji koncert jubileuszowy p. Pawła Ginzburga, koncertmistrza altowiolisty, od 30 lat członka orkiestry Filharmonji Warszawskiej. Czcigodnemu i zasłużonemu jubilatowi złożyła publiczność i koledzy dowody serdecznego uznania i sympatji.

*

W dniu 26 b. m. odbędzie się w Filharmonji koncert kompozytorski St. H. Nawrockiego.

*

Tow. Opery Narodowej przystępuje do organizowania Opery w Łodzi. Orkiestra, chór, balet skompletowane będą w Łodzi i oddane pod kierownictwo dyr. Rydera, solistów zaś dostarczyć ma opera warszawska.

*

Międzynarodowa Federacja Koncertowa w Rzymie, mająca na celu wymianę twórczości muzycznej i artystów, przystąpiła do organizowania Biur narodowych. Zarząd polskiego Biura M. F. K. ukonstytuował się w sposób następujący: p. p. Adam Wieniawski — prezes, Rutkowski, Lachman, Maklakiewicz, Perkowski, Wiłkomirski.

*

P. Edward Ganche, prezes Tow. im. Chopina w Paryżu, informuje nas, że p. H. Foss z Oxford Uniwersity Press znalazł w zbiorach Royal Manchester College of Music oryginalną maskę pośmiertną Chopina. Jak się okazuje, została ona przekazana przez Jane Sterling doktorowi Scott, którego córka ofiarowała ją 20 lat temu manczesterskiemu konserwatorjum.

Jest to pierwszy odlew wykonany przez Clesingera z negatywu, znajdującego się obecnie w Warszawskiem Muzeum Narodowem. Jak wiadomo, znane były dotychczas cztery odlewy: w Muzeum Warszawskiem, w Muzeum Czartoryskich, w Muzeum Mickiewicza w Paryżu i w Konserwatorjum paryskiem.

*

Odbył się w Paryżu koncert kompozytorski p Jerzego Fitelberga. W programie — wyłącznie dzieła kameralne.

SŁOŃCE I LIŚCIE

Fot. A. Janczewska

„Baranki i kozy"

„Góral"

ADAM STYKA

Zdaje mi się, że wchodzimy w okres stabilizacji, niewiadomo jeszcze czego, ale prawdą jest, że eksperymentów mamy już dość, bo obrzydziły nam życie.

Na każdem polu, nie mniej i w sztuce, która straszliwie się burzyła, ale nie urodziła Kolumba, ba, nawet pospiesznemi kroki cofnęła się wstecz, do źródeł prakonserwatyzmu.

I w tej chwili mógłby pan Adam Styka pokazać jej język, tak po żakowsku a słusznie, bo nie eksperymentując niczego stał się najbardziej pożądanym, poszukiwanym i oglądanym malarzem.

Niezapomniane są te tłumy, które niedawno cisnęły się na wystawę Styków w Warszawie; to samo było w Krakowie, Łodzi, we Lwowie i w innych miastach.

Przedsiębiorca z radością wspomina o tem powodzeniu, a sukces ten przypisuje w pierwszym rzędzie Adamowi Styce i jego egzotycznym obrazom.

I cóż dziwnego w takim czasie, gdy ludność podróżuje myślami na szczęśliwą Atlantydę i choć w ułudzie chce ujrzeć skrawek lepszej ziemi, byle uciec od rzeczywistości.

Z tych pragnień wykwitł powojenny egzotyzm w książkach, w życiu i obyczajach. Adam Styka trafił w ton i cisnął na swe obrazy Afrykę, jej kolor, słońce i ludzi.

Powiadają, iż obrazy jego są fragmentami panoramy i grzeją, jak rozpalony kaloryfer. Radzą, by w drodze do „Zachęty", gdzie znalazły gościnę, zaopatrzyć się w czarne okulary, bo o porażenie oczu nie trudno, jak w najskwarniejsze południe lipca.

Wiele mów jest słusznych, a rady bywają także pożyteczne, lecz najsłuszniejsze jest to, że p. Styka Adam ma ugruntowane miejsce w sztuce, swoich wielbicieli i odbiorców, choćby to się nawet nie podobało krytyce ani z prawa, ani z lewa. A właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, utrwala się w Polsce ta osobliwość, że krytyka gwarzy swoje a publiczność swoje. I to już nie jest konflikt, ale bardzo zabawna komedja nieporozumień z imponującą rolą dla Fertnera.

Egzotyczny Adam Styka maluje afrykański krajobraz i tamtejszy folklor w sposób poprawny, naturalistyczny z pewnym romantycznym sentymentem, akuratnie takim właśnie, jaki powinien mieć inteligentny turysta, którego „duch wyrywa się do dalekiego świata"; malarstwo jego pociąga jak interesująca książka podróżnicza i oto cała tajemnica jego osobliwego powodzenia zarówno w Polsce, we Francji, jak i wszędzie tam, gdzie się pojawi.

Z Paryża bowiem zaczerpnęli Stykowie tę wielką mądrość, że niekoniecznie tylko twórcy nowych zagadnień, genjalni odkrywcy lub poszukiwacze, zapisują karty dziejów kultury, ale czynią to w równie potężnej mierze ludzie duchem skromniejsi, lecz biegli w kunszcie.

W najnowszym etapie swej twórczości przerzucił się Adam Styka do polskiego krajobrazu i folkloru.

Przestał być dla nas egzotycznym, ale niewątpliwie takim będzie dla innych krajów. Afryka i Polska równie są bowiem jeszcze nieznane — na Zachodzie. Afryka nawet cośkolwiek mniej.

* * *

A ludzie bardzo szybko zapominają. Zapomnieli nawet o sztambuchach, które przed stu laty były tak pospolite, jak dzisiaj pomadka do ust w torebce damy...

A co się w sztambuchach wyprawiało? Rysunki, obrazki, wiersze, naklejanki, zasuszone pocałunki na kwiatach i wzruszające sentencje moralne.

Taką sztukę sztambuchową odnowiła pani Janina Mierczyńska, zdolna rysowniczka i ilustratorka.

W salonie Garlińskiego ukazała kolekcję obrazków, ułożonych jak aplikacje z liści o różnych kolorach i tonach.

Nazwała swój zbiór „Rytmem liści" i słusznie, bo zadziwiające jest bogactwo kolorystyczne liści i nieporównana subtelność ich tonu. Trzeba tylko umieć poszukać. W tem właśnie sztuka.

Witold Bunikiewicz

Janina Mierczyńska *„Rytm liści"*

Świat książki

NOWY, WSPANIAŁY ŚWIAT

Dobrze jest w naszych ciężkich czasach marzyć o „nowym, wspaniałym świecie", dźwigniętym wolą i rozumem, zracjonalizowanym, pozbawionym cierpień, braków, kryzysu, bezrobocia. Dzień w dzień otrzymujemy przecież sensacyjne wiadomości o wspaniałych zdobyczach wiedzy współczesnej. Dawno już jednak ludzkość nie znajdowała się w sytuacji tak zagmatwanej, jak teraz. Wspaniały rozwój intellektualizmu powinienby wyprowadzić nas z labiryntu niepowodzeń. Cóż jest przyczyną, że wielkie rozumy nie pomogły jeszcze światowym niedomaganiom?

Istotnie, cóż jest przyczyną?

Na pytanie to żartobliwie odpowiada świetny angielski powieściopisarz Aldous Huxley w ciekawej, choć przydługiej i monotonnej powieści pt. „Nowy, wspaniały świat". Utwór ten zyskał szeroką poczytność w Europie i Ameryce. Żartobliwość Al. Huxley'a, autora znanej powieści „Ostrze na ostrze", nie podobała się zelantom nauki, nietylko u nas, ale i w Anglji. Jeżeli się ośmiesza zdobycze wiedzy, to co jest wogóle nietykalne? Ależ nauka różni się tem właśnie od konfesji, że nie tworzy nietykalnych autorytetów. W teorji! W życiu autorytety naukowe są teraz czczone, jak bałwany z bronzu.

Aldous Huxley ośmieszył „nowy, wspaniały świat", zbudowany według reguł tych „naukowych bałwanów z bronzu": racjonalizacji, komunizacji, standaryzacji i stabilizacji. „Ośrodek wylęgu i przysposobienia" zajmuje w nowym tym ustroju miejsce rodziny i szkoły, a pigułka „somy" skutecznie działa na utrzymanie w ludziach niezmiennych prawie humorów i chęci do życia. Dzieci nie rodzą się Od tego są... butelki. „Wybutelkowuje się" nie przypadkowe jednostki: zgóry wiadomo, jaki będzie nowonarodzony typ. Standaryzację zastosowano przedewszystkiem w tej dziedzinie. Produkuje się tylko tylu intellektualistów, kierowników, ilu będzie potrzeba według mniemań wodzów ludzkości. Reszta to miazga o mięśniach, a bez mózgów.

Człowiek w „nowym, wspaniałym świecie" podporządkowany jest ściśle planowości. Ma do dyspozycji aeroplany rakietowe, „somę" (cudowne pigułki), nie wolno mu jednak samodzielnie myśleć. Plebs tego nie czyni zresztą, bo nie ma mózgu. Jeżeli jednak wśród warstwy „Alfa", to jest intellektualistów, znalazłby się śmiałek, któryby chciał niezależnie posługiwać się swoim mózgiem, jest na niego środek: deportacja. Naukowo „wybutelkowany" człowiek musi być posłuszny, musi podporządkować się interesowi gromady. O rewolucjach w tych warunkach niema mowy! Ludziska żyją sobie dosyć łatwo, słuchają koncertów, kochają się „społecznie", nie znają żadnej religji, a zaklinają się na „Forda". Ten „Ford" — to taki jakiś przedhistoryczny typ, co przeczuł racjonalizację.

Wesołą częścią opowiadania jest podróż do rezerwatu ludzi o kulturze rodzinnej, chrześcijańskiej. Al. Huxley w zabawny sposób przeciwstawił wierzenia nasze pojęciom, urobionym na „nauce", dyscyplinie racjonalizacji, komunizacji. Człowiek naszego pokolenia jest „dzikusem" dla nowej społeczności.

Powieść Aldousa Huxley'a nie jest lekturą dostępną dla przeciętnego czytelnika beletrystyki. Intellektualistom dostarczyć może wiele emocji. Bawi żartobliwą wizją „nowego, wspaniałego świata", który jest o ileż uboższy od naszej cierpiącej, nieszczęśliwej współczesności. Mówi o ...względności ludzkich wysiłków i przywraca właściwe miejsce naukowym tendencjom do uszczęśliwienia ludzkości. Odpowiada na niepokojące pytanie, czemu przy wspaniałym rozwoju nauki i techniki niedomagania społeczne nie dają się usunąć ...cudowną receptą, czarodziejskie zaklęciem.

Marzenia o nowej wspaniałej rzeczywistości, która musi przyjść, nie powinny nas odstręczać od żartobliwej wizji Huxley'owskiego świata, zmechanizowanego. Marzy się przecież zawsze wbrew rzeczywistości.

Dr. Mar.

„Namiętny pielgrzym" Anatola Sterna

Pierwsza powieść Anatola Sterna jest zamierzeniem trudnem i ambitnem, wykonanem z powagą, wysiłkiem myśli i z artystycznym umiarem. Wieczne zagadnienia walki indywidualnej jednostki ze światem, tragicznego buntu podświadomych instynktów przeciw surowym prawom życia ujęte są tu w formę przejmujących dziejów Andrzeja Ordy. Ten pozornie zrównoważony, kulturalny architekt popełnia na kartach powieści Sterna cały szereg nieumotywowanych pozornie i niezwykłych czynów, w trakcie teoretycznej dyskusji nad Wisłą zabija prokuratora Prysiuda, zapoznaje się z więzieniem i śledztwem, traci możność zarobkowania, przeżywa uniesienia i udręki miłości z młodą i uroczą dziewczyną, prowadzi dyskusje z doktorem Durocem i z komunistą Jedliczem, by wkońcu, pozbawiony związku istotnego ze światem, wytrącony przez wewnętrzne walki i cierpienia poza krąg realnych zdarzeń — skończyć samobójstwem.

Natrętne wspomnienie dziecinnego przeżycia, owego ptaka wypuszczonego niebacznie z klatki, który, upiorny, złowrogi, urósł w symbol grożący życiu, przewija się przez losy bohatera powieści, jako zasadniczy motyw uraz, który stał się z biegiem lat przyczyną buntów i klęsk. Odruchem tego protestu przeciw wszechwładnemu prawu, przeciw państwowej organizacji — klatki przepisów i układów, wiążących ludzkie instynkty, jest zabójstwo człowieka, który staje się dla niego smbolem przymusu.

Nawet miłość nie umie ustalić i skrępować życia tego człowieka, nadać mu pewnych zorganizowanych form. Andrzej Orda w przejmującej interpretacji Sterna to nietylko przypadkowy zabójca i nieszczęśliwy kochanek, to symbol walki człowieka, opuszczonego przez dobre moce pewności, o dogmat zarówno z własną jaźnią, jak i ze zwycięskiem i okrutnem życiem.

H. M.

Nowości francuskie

André Maurois wydał zbiór dzienników podróży, ciekawych rozmyślań i wrażeń na tle pejzażów Anglji, Ameryki i Egiptu pod ogólnym tytułem *„Oto me sny"* (Mes songes que voici).

*

Nowa książka *J. Kessela*, autora „Equipage" i „La belle du jour" nosi tytuł „Wagon lit". Treścią jej jest wspomnienie młodego pilota francuskiego z powojennego swego pobytu w Rydze. Nina, młodziutka Rosjanka, na tle zetknięcia z przedstawicielem wymarzonego Zachodu, przeżywa tu krótkotrwały i namiętny romans, pełen histerji i zmysłowości.

*

„La recherche du beau", nowa książka Leona Daudeta, wykracza poza zakres zagadnień politycznych w dziedzinę estetyki i zajmuje się pojęciem i zagadką piękna nietylko w sztuce, ale i w życiu. Najciekawszy rozdział poświęcono twórczości Fryderyka Mistrala.

Co za wielka uciecha dla gospodyni, jeżeli zaproszeni goście na skromną kryzysową wieczorynkę, okażą się zadowoleni z jadła i napojów. Produkty spożywcze nie są obecnie drogie, łatwo pod tym względem gości zadowolnić, z napojami trudniej, ale jest na to sposób. Trzeba kupować znakomite wyroby Haberbuscha i Schiele, które nie są drogie a zadowolić mogą najwybredniejszych smakoszów.

Uwaga!

Ed. PINAUD, Paris

poleca swe słynne wody do włosów

EAU DE QUININE
EXTRAIT VEGETAL DE VIOLETTES
lub LILAS — EAU DE PORTUGAL

Oryginalny korek natryskowy z firmą „Pinaud" gwarantuje autentyczność.

warszawa pod śniegiem

narciarki w ogrodzie agrykoli

w dolinie szwajcarskiej

ulica bocheńska w mokotowie

aleje ujazdowskie

park ujazdowski

ulica agrykola

J. JANICKA

PANNA

Widzę ją tysiąc lat temu, jak w zgrzebnej koszuli maluje wielkie koła na domostwie rodziców, dając znać, że jest do wzięcia. Silna, zdrowa, ma lnianą kosę do kolan, mocne dłonie, zdolne do wszelkich robót polnych i domowych. Czeka na tego, który ją weźmie — z dobrawoli, przemocą, lub kupnem — wszystko jedno, trzeba jej pana.

Po historji wolno się promenować w siedmiomilowych butach. Widzę ją więc znów w 400 lat później na jakimś dworze książęcym, czy królewskim. Nosi z gracją sztywną i kosztowną szatę, wyuczono ją pięknego dygu i kunsztownych robótek, zna smak pocałunku kradzionego — i czeka — na męża, lub klasztor, zależnie od woli rodziców, co bardziej odpowiednie dla funduszów i splendoru rodu się okaże.

A jeszcze po 400 latach bije już pod cienkiemi szatkami uświadomione serce, rządzić niem nie wolno, ale wybierać i marzyć już umie. Budzą się ciche bunty, nowe myśli, ręka za pióro chwyta, pamiętniki pisać próbuje — póki wola pana ojca kresu swobodzie nie położy i godnego a starszego małżonka nie wybierze.

Jeszcze 200 lat i stoimy przed tworem, którego żadna historja nie znała — przed — *nowoczesną panną*. Doniedawna określenie „panna" znaczyło zaledwie stan cywilny danej osoby. Nasuwało się zaraz uzupełnienie jej sytuacji życiowej: mieszka z rodzicami, lub — jest kokotą, lub — „to feministka", wreszcie „stara panna". Dziś „panna" to nietylko stan cywilny kobiety, która nie chciała, czy nie mogła wyjść za mąż. — To nowy typ.

Bez względu na to, czy mieszka z rodzicami, czy sama — pracuje, zarabia, płaci za siebie. Ma prawo do własnego pokoju w rodzinie, lub mieszka samotnie i nikt jej z tego powodu o dwuznaczne praktyki nie posądza. Pracuje przeważnie z zainteresowaniem: sklep, biuro, wolny zawód — to teren jej samodzielności, źródło dobrego samopoczucia. — Odpoczywa, nie krępując się rodziną. Ma wyłącznie swoje stosunki towarzyskie, swoje kluby i posiedzenia. Podróżuje sama. Sportuje się, nie krępuje jej żadna fałszywa wstydliwość. Wie, jak się co po imieniu nazywa. Umie się obronić, rzadko da się oszukać. Sala balowa przestała być jej królestwem — woli dancing. Nawiązuje przyjaźnie z mężczyzną, nie troszcząc się o ich wynik matrymonjalny. Unika konfliktów uczuciowych, nie ma na nie czasu, jest w stosunkach z ludźmi dość bezwzględna i chłodna, nie lubi słuchać, jeszcze mniej się radzić. Odprężenie uczuciowe, to telefon do przyjaciółki — powiernik wszystkich chwilowych niepowodzeń, najwierniejszy, cierpliwy przyjaciel — miedziany drut.

Panny chodzą w astronomicznych cyfrach po ziemi.

Miljony nadwiędłych młodych twarzy zapełniają fabryki, magazyny. Tysiące szczupłych postaci z nieodzowną bułką w papierku biegną rano do biur.

Setki skupionych oczu wpatruje się w zagadki prac naukowych.

Panna — to nowy samodzielny twór. Nie zawiesza swego szczęścia na innym człowieku. Nie pasożytuje ani na rodzinie, ani na mężu. Zerwała z tradycją. Wyzbyła się wszelkich przesądów, wielu marzeń, niejednego szczęścia. Pozostał tylko jeszcze jeden dawny strach — obawa przed dzieckiem.

Zwalczy i to. Będzie rozsyłała radosne zawiadomienia,

„Panna X. Y. ma zaszczyt zawiadomić, iż powiła szczęśliwie bliźnięta".

Przesłanki zniżki cen na wyroby tytoniowe

Zniżka cen papierosów odbiła się żywem i przyjaznem echem w szerokich kołach palaczy. Bez powiększania nakładu pieniędzy można już powrócić do swego ulubionego gatunku papierosów, można znieść własne ograniczenia co do ilości wypalanych papierosów.

Jest jednak grupa palaczy, która poczuła się poszkodowaną. Są to nabywcy tytoniu paczkowego, którzy sami „sposobem domowym" wyrabiają papierosy. Oni to pytają, dlaczego staniały papierosy, a nie staniał tytoń, z wyjątkiem najniższych gatunków, t. zw. machorki.

Na pytanie to postaramy się odpowiedzieć. Przedewszystkiem musimy sobie uświadomić, że nasz monopol tytoniowy w 65% czerpie surowiec z zagranicy, a tylko ca 35% z plantacyj krajowych.

Gdyby więc Monopol Państwowy obniżył cenę na tytoń paczkowy, zamiast na papierosy, to wzrosłaby konsumcja samego tytoniu, a spadłoby spożycie papierosów. Innemi słowy nasze fabryki papierosów zmniejszałyby swoją produkcję, musiałyby redukować swoją załogę. A więc istniejąca i prosperująca gałęź przemysłu — zniszczałaby. Dalej, wzrost spożycia tytoniów paczkowych zredukowałby rolę naszego monopolu tytoniowego do czynności pośrednika między cudzoziemskim dostawcą tytoniu a rynkiem krajowym. Na przestrzeni ostatnich lat nasz Monopol Tytoniowy poważnie się emancypuje z pod wpływów zagranicznych, zarówno w dziedzinie polityki zakupów, jak i w dziedzinie własnej krajowej twórczości. Kupujemy więc u tych, którzy u nas kupują, a następnie staramy się ograniczać import tytoniu tam, gdzie na to możliwości krajowe pozwalają. Stąd powstały w kraju plantacje niektórych gatunków tytoniu, będące poważnym źródłem dochodu dla naszych rolników.

Jak widzimy, realizacja zniżki cen na wyroby tytoniowe była przeprowadzona celowo z najszerszym uwzględnieniem interesu palacza, istniejącego przemysłu papierosowego i krajowych plantatorów.

S. K.

Przedwczesny zanik urody

warunkują wprawdzie momenty natury psychicznej, jakoteż ogólno-zdrowotnej, najczęstszą atoli przyczyną bywa bezkrytyczny wybór preparatu kosmetycznego, o uniwersalnem rzekomo znaczeniu, nie dostosowanego do struktury i właściwości danej skóry twarzy. Dlatego dostosowuje lekarska kosmetyka, której wyrazem jest wytwórnia „Miraculum", każdy preparat lekarsko-kosmetyczny ściśle do indywidualnych potrzeb cery, skóry ciała i włosów. Dla przykładu wspomnę o pudrze. Zadaniem pudru nie jest dziś już sama ochrona przed czynnikami zewnętrznemi, lecz głównym jego celem: odtłuszczanie tłustej cery a zmiękczanie twardego naskórka, celem wywołania soczystości cery, u osób o suchej i prawidłowej skórze. Uniwersalny puder nie może uczynić zadość powyższym wymogom. Z tego powodu wyrabia lekarsko-kosmetyczna wytwórnia „Miraculum" odtłuszczający puder higjeniczny Dra Lustra dla tłustej, odrębnie zaś: roślinny puder egzotyczny Dra Lustra — dla prawidłowej i suchej cery.

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Od soboty, 25 lutego

Dramat w 6-ciu aktach Aleksandra Dumas'a (ojca)

„KEAN"

Józef Węgrzyn, Kaz. Junosza-Stępowski, Lindorfówna, Hałacińska, Macherska, Buszyński, Łapiński, Dominiak, Sawan, Żeliska, Zielińska, Andrzejewska.

TEATR NOWY

Głośna sztuka D. Niccodemiego

„CIEŃ"

Marja Malicka, Z. Marcinowska, R. Boelke, W. Gawlikowski, J. Ciecierski, W. Micińska, G. Oranowska

TEATR LETNI

Nowa komedja w 3-ch aktach Bruno Winawera

„SMACZNY CHLEB KŁAMSTWA"

M. Ćwiklińska, Janecka, Różańska, Peszyńska, Jerzy Leszczyński, J. Orwid, Ar. Socha, Kierczyński

ANDRZEJ KOBYŁECKI

BAL

(NOWELKA)

Drzwi trzasnęły. Tadeusz przeleciał pędem przez środek izby, walnął o ścianę i, potknąwszy się o jakiś przedmiot, usiadł ciężko na podłodze. Był w niewielkim, ciemnym, jak sama noc, pokoiku. Z góry, przez wycięte kara zamkniętych okiennic, wpadało mdłe, niewyraźne światło.

W głowie kręciło mu się i szumiał jakiś wściekły, opętany potok. Uczuł nagle straszne pragnienie.

Pić, pić, za wszelką cenę pić!... Ale jak wyrwać się z tej dziury? Usiłował powstać. Ziemia ugięła się, zachybotała, jak okrętowy pokład. Tadeusz siadł znowu bezradnie, starając się sobie coś przypomnieć:

— Zaraz, zaraz... Co to było? Ach, tak. Miałem iść na bal do „Akademików"... Naturalnie, walka z koślawą spinką i sztywnym kołnierzykiem zajęła mi tyle czasu, że ruszyłem w drogę dopiero o 11-ej. Trzeba się było spieszyć, a na „taksa" nie miałem. Więc piechotą. I tu się dopiero zaczęło. Z ciemnej bramy wylazło paru drabów i zaczęło iść za mną. Przyspieszyłem kroku, oni — też. Niespodziewanie chwycili mnie pod ręce mocno, aż trzasnęły kości. Broniłem się dość długo. Jakiś wysoki drab chciał mi zatkać usta, bo zacząłem wrzeszczeć, jak opętany; potem już tylko jęczałem... A teraz przyprowadzili mnie tu. Ale czego odemnie chcą? Nic do tej pory nie zabrali. Nawet tej dziesięciozłotówki. Na wszelki wypadek wsunę ją do lakierka. Nie boję się. Strach został gdzieś na ulicy w postrzępionych resztkach mojego kapelusza.

Za cienką ścianą rozległa się schrypnięta, zadyszana harmonja. Ktoś nucił półgłosem. Miał nawet zupełnie niebrzydki baryton.

— Czego u licha odemnie chcą? — powrócił do upartej myśli.

W przyległej izbie zaczęto rozmawiać, po chwili zgrzytnął w zamku klucz i ukazały się we drzwiach dwie postacie.

— Hej, jegomość, zdym szatki. Koszuli i kalesonów nie trza.

Nie ruszał się z miejsca.

— No prędzej, bo się spóźnim. Kawaler to się sobie tymczasem prześpi i będzie rad, że po nocy i zmęczony nie będzie.

Podeszli do niego. Oparł się plecami o ścianę, gotów do obrony.

— No, niech się osoba nie rzuca, bo...

Niższy łysnął przewróconemi w okropny sposób białkami oczu...

Rozegrała się niezwykle przykra dla więźnia scena. Znalazł się po chwili bez smokinga, prawie zupełnie nagi i znowu sam w czarnej tajemniczej dziurze. Trząsł się wprost ze złości i upokorzenia:

— Tak, a co dalej? Obedrą ze skóry, storturują... Boże, zlituj się! A bal? Bal djabli wzięli. I „Ona" tam czeka... Czeka, a mnie nie będzie, bo zginę marnie i bez smokinga.

Oszołomienie przeszło zupełnie, opanowała go tylko niepohamowana żądza ucieczki. Za ścianą była cisza. — Podszedł, chwiejąc się, do okna. Mocno trzymały zamknięte zzewnątrz okiennice. Po chwili daremnych usiłowań zwrócił się ku drzwiom. Ostrożnie przycisnął klamkę: — nie puściły. Wsparł się mocniej, z cichym trzaskiem odskoczył źle przykręcony haczyk.

Przebiegł szybko długi zimny korytarz, by znaleźć się znowu w jakiejś ciemnej izbie. Dopiero teraz przypomniał sobie, że jest w samej bieliźnie i dygoce z zimna. Pierwszą jego myślą stało się więc zdobycie ubrania. Poomacku sunął wzdłuż ściany, wpadł na jakieś garnki, natrafił wreszcie na zasłonę, za którą wisiał pęk fartuchów i spódnic. Zaczął w nich grzebać ze wściekłością. Niespodziewanie natknął się na ubranie męskie. Cały komplet — jakgdyby przygotowany dla niego. Niewiele myśląc, ubrał się, zawiązał na szyi szalik, wcisnął na oczy zatłuszczoną cyklistówkę.

Był już gotów do wyjścia, gdy na korytarzu rozległy się szybkie kobiece kroki. Zamarł w oczekiwaniu. Ktoś po chwili stanął we drzwiach. Błysnęła zapałka.

— Franek, to ty?

— Nie.

— A kto? — Pocoś tu wlaz?

. . . . . .

Tadeusz nie mógł sobie zdać sprawy, w jaki sposób znalazł się w dusznej izbie razem z wymalowaną, tęgą dziewczyną, a przedewszystkiem, jak doszedł z nią do porozumienia.

Pokój był niski, lecz obszerny. Na niewielkiem podniesieniu orkiestra. W rogu za szarą, ruchomą ścianą — bufet. U sufitu wśród kłębów papierosowego dymu kryły się różnobarwne taśmy udrapowanej, falistej bibułki. Prze otwarty lufcik wpadało zimne, świeże powietrze, kładło się nisko przy ziemi, by lec za chwilę zduszone.

— No co, podoba się?!

Towarzyszka szturchnęła go w bok i z pod oka obserwowała wrażenie, jakie na nim zrobił przepych lokalu. W korytarzu już wcisnął czapkę do kieszeni, widząc, że tak postępuje większość gości. Stali chwilę u wejścia. Jakiś rudy drab bąknął coś do dziewczyny, spojrzawszy podejrzliwie na nieznaną w „ferajnie" fizjognomję. Zaśmiała się kokieteryjnie i wzięła Tadeusza pod rękę. — Na podniesieniu sapnęła astmowato harmonja. Zakrztusiła się. Przeleciało pierwszym taktem po sali, jęknęło długim przeciągłym skowytem i rozbębniło się miarowym, jednostajnym rytmem tango.

— No, jazda. — Chwyciła go wpół i zaczęła wlec po sali.

— Z fasonem, bliżej. Ręce przed piersi. O, tak. — Komenderowała.

Ktoś go trącił elegancko wystawionym łokciem.

— Pardonk. — Spłoniona dziewica ukryła przewiązaną błękitną szarfą głowę na piersi tancerza.

Spojrzał po sali. Twarze czerwone, płonące ekstazą. Niektórzy panowie delikatnie, by nie oparzyć tancerki, kątem ust przytrzymują papierosa. Jest nawet jedna fajka, własność efektownego marynarza „słodkiej wody".

Ubrania panów przeważnie szare. Prosto od roboty. Czasem rażący podejrzaną bielą kołnierzyk. (Patrzył głównie na mężczyzn, z ich bowiem strony po dzisiejszej

2x pomnożyć w najkrótszym czasie liczbę radjoabonentów

powinno być dążeniem każdego radjosłuchacza

Uzyska on wówczas jeszcze ciekawsze audycje, jeszcze lepsze koncerty, jeszcze wybitniejszych wykonawców.

ZACHĘCAJCIE SWYCH ZNAJOMYCH DO ZAPISYWANIA SIĘ NA RADJOABONENTÓW!

przygodzie spodziewać się mógł wszystkiego). Nagle, wśród tłumu błysnęła niepokalana, lśniąca czerń smokinga, ożywiona pękiem amarantowej bibułki.

Aż go zatrzęsło:

— Mój, mój, słowo daję, mój. O, ta mała, dla mnie tylko widoczna cera!

Nie myśląc wiele, chciał biec, odebrać swą własność, lecz tancerka trzymała go mocno — i to bardzo mocno. Ciągnęła za sobą, rzucała na boki, przebiegała z jednego końca sali na drugi.

Przerwa. Namiętny uścisk zwalniał. Wyrwał się, jak szalony. Smoking znikał w kierunku bufetu.

— Gdzie? — chwyciła go za kurtkę. Po spoconej gębie spływały czarne strugi roztopionej szminki. Stanowczo, nie był nią oczarowany.

— Puść! — wrzasnął.

— Panowie, bez awantur, — rozległ się uspokajający głos. Parę twarzy obróciło się w ich stronę z ciekawością, podsunęło się kilku drabów, gotowych do łagodzenia sprzeczki. Przeraził się nie na żarty.

Orkiestra buchnęła nagle skoczną melodją.

— Panie proszą panów do poleczki! — wrzasnął „smoking", wyłażąc na środek pokoju.

Przewaliło się coś przez salę z hukiem, hałasem, wrzaskiem, wzbiło w powietrze kłęby kurzu, zawirowało jakimś szalonym rytmem, wreszcie przycichło. Po bokach i po środku sali drobnym kroczkiem szły teraz tylko „fajniejsze", szykowne pary. Na czele szalał „smoking".

Nie zwracał na nic uwagi. Kręcił się, przerzucał z ręki do ręki zziajaną dziewczynę, jak burza grzmiał obcasami, wyrzucał z gardzieli urywane okrzyki.

Nagle stanął. Rzekłbyś, nogi wrosły mu w ziemię. Zatrząsł się. Oczy rozszerzyły mu się zdumieniem. Orkiestra przymilkła, nie słysząc komendy.

— A skądeś ten garnitur wytrzasnął? Możeś ty mu Hanka dała, co? Złodziej, a między porządne ludzie się pcha! Widzicie go!

Wrzeszczał głośniej, skupiając coraz większe grono gapiów.

— Zdymuj ofermo odzienie! — ruszył ku Tadeuszowi pochylony, z zaciśniętemi pięściami.

Z kolei Tadeusza opanowała pasja.

— Najpierw ty się rozbierz i oddaj, co moje! — wrzasnął. — Od złodziejów mi jeszcze wymyślasz, a sam...

Zaciął szczęki i wysunął się na spotkanie. Po sali przebiegł pomruk. Dziewczyny z piskiem skupiły się pod ścianami, mężczyznom zaiskrzyły się z zadowolenia oczy.

— Lu go, Franek!

Coraz bliżej przysuwali do siebie wściekłe twarze.

— Jeżeli „bykiem", to nadstawię kolano; jeżeli mnie w zęby — to ja go nogą. — przeleciało wichrem przez głowę Tadeusza.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Twarz przeciwnika zaczęła się kurczyć dziwnie. Od oczu ku uszom pobiegły głębokie, komiczne zmarszczki... Raptem pochwycił go za ramiona, potrząsnął i zaniósł się niepohamowanym, serdecznym śmiechem:

— A niech cię nie znam! To ci „kanciarz"! A jakeś ty się tam wydostał i z Hanką zwąchał? Co?!

Za chwilę śmieli się już obaj. Tadeusz jeszcze może trochę kwaśno, ale po dziesiątym kieliszku „czystej" był zaprzyjaźniony z całą salą.

— Wiadomo — dla wodzireja smoking musiał być, nie? — mrugnął Franek — po raz setny może opowiadając całą przygodę. — A teraz brudersiaft i — buzi. Panie, proszę ukryć oblicza. Zmiana wodzireja! — obwieścił uroczyście. — No, rozdziewaj się. Dawaj moje ubranie, bierz swoje.

Znaleźli się obaj przez chwilę w bieliźnie. Gdy Tadeusz dopinał już ostatnie guziki kamizelki, w orkiestrze kornet rozpoczął walca.

Wyszukanym ruchem poprawił na ramieniu bibułkę i huknął na całą salę: Walczyk, już! Z figurami! Panie wybierają!

PORWANY OKRĘT

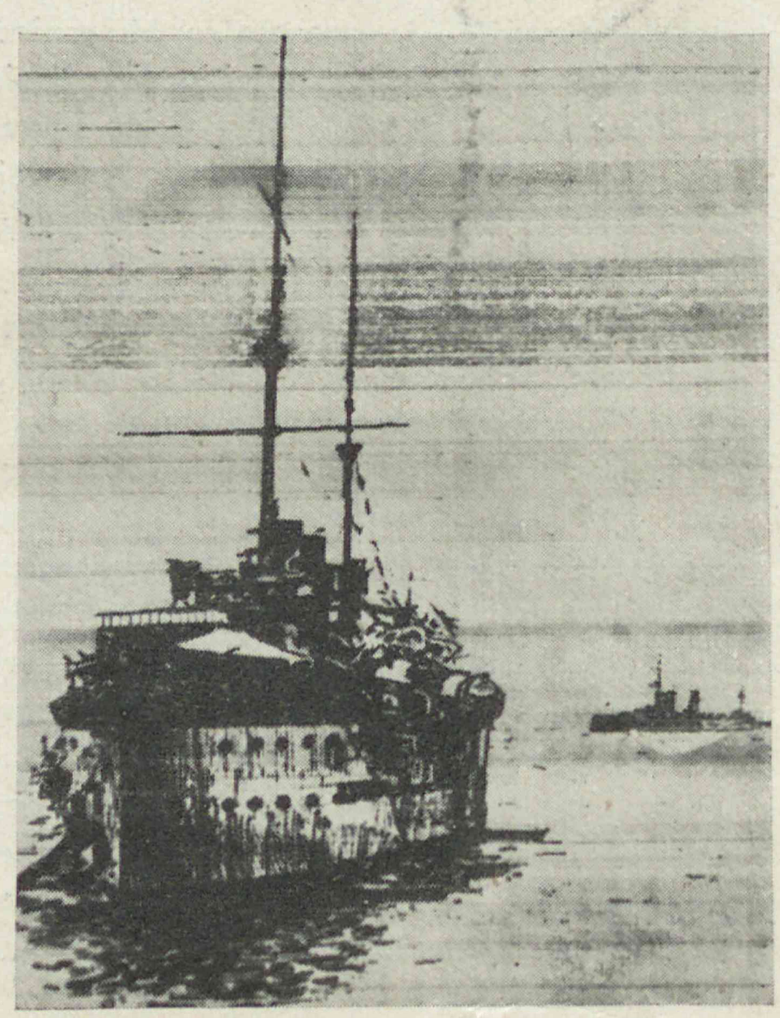

Fotografja zbuntowanego na oceanie Indyjskim okrętu holenderskiego „Zeven Provincien", przesłana drogą telegraficzną

Ś. p. Ludwik Czarnowski

Scena polska poniosła dotkliwą stratę przez śmierć niepośledniej miary artysty dramatycznego, b. dyrektora teatrów miejskich lwowskich i wielu imprez teatralnych, ś. p. Ludwika Czarnowskiego.

Warszawa miała sposobność oklaskiwać Go przed dwu laty w świetnej roli

Ś. p. Ludwik Czarnowski

„Wojaka Szwejka", którą grał przez kilka wieczorów po Stefanie Jaraczu.

Ś. p. Ludwik Czarnowski urodził się w 1887 r. w rodzinnej wsi Mirosławice ziemi kutnowskiej. Nauki pobierał w Warszawie i tu też ukończył z wyróżnieniem szkołę dramatyczną.

Za zasługi, położone na stanowisku dyrektora teatrów lwowskich, otrzymał odznaczenia krajowe i zagraniczne, ale najdroższą z nich była Mu honorowa odznaka „za walkę o szkołę polską", za którą został — przez władze rosyjskie — wydalony ze szkół i uwięziony.

Jako prawy i kochany kolega, pozostawił po sobie szczery żal wśród całej rzeszy aktorskiej.

SPROSTOWANIE

W artykule „Teatr Iwo Galla", zamieszczonym w № 6 „Świata", zaszła nieścisłość chronologiczna, wymagająca sprostowania: Mała sala teatru częstochowskiego została wykończona już w r. 1930, przez tamtejsze T-wo Budowy i Eksploatacji Teatru.

Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, że o dalszem istnieniu tej artystycznej i kulturalnej placówki zadecydowały starania i opieka Zarządu Miasta z kom. Mazurem na czele, oraz Towarzystwo Przyjaciół Teatru.

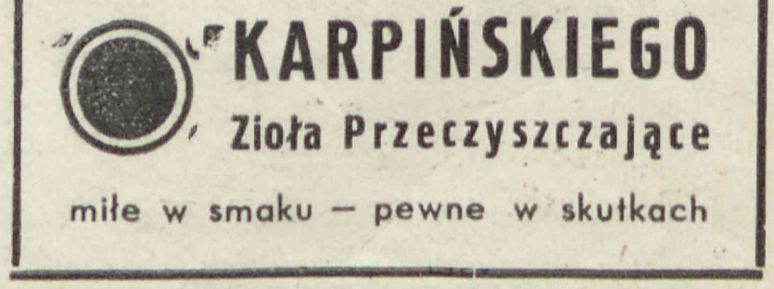

Forman przeciw katarowi

Z dziedziny kosmetyki

P. Józefie w K. Dla utrzymania czystej cery, radzę stosować codziennie wschodni płyn Mimoza, wytrzeć twarz kawałeczkiem waty, zmoczonym w tym płynie, a następnie lekko przypudrować *pudrem Abarid.* Tłustych kremów nie używać. Najlepiej lekko wetrzeć na noc odrobinę *kremu Abarid* i przypudrować tymże pudrem. Rano zmyć twarz ciepłą wodą i *otrąbkami Abarid,* a wśród dnia odświeżać twarz *płynem Mimoza.* Ręczę, że stosując te środki, będzie pani miała zawsze czystą, świeżą cerę, o młodzieńczym wyglądzie.

P. Zofji. Włosy samej najlepiej sobie przyciemnić *farbą Jima.* Jest zupełnie pewna, niekłopotliwa w użyciu, nie daje różnych odcieni i rudych pasów. Cała rzecz, aby ściśle zastosować się do przepisu i doskonale odtłuścić włosy. Z szamponów radzę pani doskonały w użyciu *Szampion Szachrazada;* który nie niszczy włosów a doskonale je odtłuszcza. *Farbę Jima* sprzedają wszystkie większe składy apteczne i perfumerje.

P. Kaźmierzowi. Do przyciemnienia wąsów i brody polecam panu *farbę Jima* w kolorze Chatin. Jest pewna w użyciu, nie daje kolorowych odcieni i nie niszczy włosów.

Kalinie. Talk perfumowany tualetowy krajowy w najlepszym gatunku dostanie pani za 3.75 gr. w perfumerji Perfection. Dobrocią i silnym zapachem nie ustępuje zagranicznym, a jest znacznie tańszy.

M-me Ercedès

W kinach warszawskich

Dzięki popularności powieści Claud Aneta, film „Arjana" (kino „Adria") narobił w światku warszawskich kinomanów niemałego hałasu. W rzeczywistości różni się on od pierwowzoru. Do scenarjusza wpleciono cały szereg scen nowych — wiele znowu innych usunięto. Zmiany te były konieczne dla utrzymania tempa obrazu. Najlepsza scena w „Arjanie" jest... niema. To scena rozstania przed odjeżdżającym pociągiem. Nie padło ani jedno słowo. Djalog stał się zbyteczny.

Rewelacją jest gra Elżbiety Bergner, największej niemieckiej artystki dramatycznej.

*

Bernard Shaw powiedział w sztuce „Major Barbara", że „nędzy trzeba się wstydzić", że „każdy powinien dążyć do tego, aby zdobył bogactwo, bo tylko wówczas można być ...człowiekiem". Tezę tę odwraca reżyser filmu „Moloch złota" (kino „Hollywood"). Bohaterka obrazu zdobywa bogatego męża, ale poto tylko, aby się przekonać, jak bezwartościowe są miljony, jeśli się nie ma żadnych pragnień i... miłości.

Rolę nowokreowanej miljonerki, która dobrowolnie wraca do ubóstwa, aby znaleźć radość w walce o byt — zagrała anemiczna Constancja Bennet.

Film jest zręcznie zainscenizowany, a pozatem posiada dwie niewątpliwe dla płci pięknej atrakcje: pokaz mody i konkurs piękności.

(F.)

Na ekranie kina „Casino" wyświetlana jest najnowsza komedja polska „Każdemu wolno kochać". W filmie tym główne role grają: Mira Zimińska, Lili Zielińska, J. Brochwiczówna, Adolf Dymsza. Marjusz Maszyński, L. Lawiński, Conti, Łuszczewski i inni. Reżyserja: M. Krawicz. Kier. produkcji: St. Szebego. Muzyka: Kataszek i Karasiński.

J. SZACH

DERNIER CRI
JAPOŃSKI BIAŁY BEZ
PLUIE DE FLEURS
SZACH 15 · QUATRE VALETS

PERFUMY WODY KWIATOWE PUDRY MYDŁA KREMY

Najpierw spróbuj **Faworki i Pączki**
W CUKIERNIACH
K. FORKASIEWICZA
Nowy Świat 31, Krucza 11. Senatorska 18.

PIERNIKI
Fuchs
NA CZYSTYM MIODZIE

DOM PRZEMYSŁOWO-TOWAROWY
JÓZEF FETTER Sp. Akc. w Gdyni
GDYNIA-PORT Nabrzeże Polskie

poleca z własnego zakładu

wykwintną mieszankę kompotową marki J. F. „EXCELSIOR"

składającą się z owoców suszonych w gwarantowanem zestawieniu. 50% moreli, brzoskwiń, jabłek i szeptałów i 50% śliwek kalifornijskich, w paczkach celofanowych: po 1/4 kg., w cenie zł. 1.— w detalu, po 1/2 kg., w cenie zł. 2.— w detalu do nabycia w sklepach kolonjalnych i owocarniach.

Przy kupnie prosimy zwracać uwagę na markę J. F. „EXCELSIOR".

ODZNACZENIE

P. HENRYK MARKIEWICZ,
dyrektor koncertów w Konserwatorjum państwowem, odznaczony został przez króla Alberta belgijskiego orderem króla Leopolda II-go w uznaniu zasług, położonych na polu szerzenia kultury muzycznej i zbliżenia polsko-belgijskiego. Zaznaczyć należy, iż za propagandę artystyczną dyr. Henryk Markiewicz został odznaczony przed niedawnym czasem wysokiemi orderami przez rządy francuski i austryjacki.

— Niechże pani pozwoli się pocałować. Przecież pani nie zjem.
Ona, obrażona.
— Czy pan przez to chce powiedzieć, że nie jestem apetyczna?

Zdrowie to skarb — bądź zawsze ostrożny

Do niniejszego numeru dodajemy wszystkim prenumeratorom, jako DODATEK BEZPŁATNY,

znakomita powieść
W. Somerset Maugham:
„Obca naleciałość"

Przekład autoryzowany Bolesławy Kopelówny.

Słucham Radja!

Od paru lat obserwujemy coraz większy rozrost nowego środka, pośredniczącego między literaturą, sztuką, muzyką, wiedzą a obywatelem. Jest to radjo, którego słuchowiska, trwające codzień przez rok długi po dziesięć godzin, dostarczają wszystkich możliwych wrażeń słuchowych z rozlicznych dziedzin życia.

Teatry, koncerty, odczyty i t. p. znajdują odgłos w prasie przez krytyki i omówienia. Programy radjowe, słuchane przez miljony ludzi na terenie Polski i zagranicą, są dotychczas przeważnie przemilczane, lub krytykowane dorywczo, często złośliwie i stronniczo.

„Świat", dążąc do wszechstronnego uwzględniania przejawów życia kulturalnego, wprowadza nową rubrykę p. t. „Słucham radja". Rubryka ta zawierać będzie recenzje z programów radjowych, uwzględniając audycje ze stanowiska przeciętnego słuchacza, który za swoją opłatę miesięczną domaga się od „Polskiego Radja" wartościowych i zajmujących rozrywek, informacyj, prelekcyj i t. p.

Dział „Słucham radja" prowadzony będzie stale, pod kątem widzenia interesów miljonowej rzeszy słuchaczy — bezstronnie i rzeczowo. Wprowadzamy tę inowację w prasie polskiej z wiarą, iż zyska ona u czytelników sympatję i prawo obywatelstwa.

Skarb dziecka i matki
Puder, Mydło, Krem
BEBE SZOFMANA

NOWOCZESNE
DRUKI REKLAMOWE

1880
GALEWSKI i DAU
ZAKŁADY DRUKARSKIE
WARSZAWA, ORDYNACKA 6.

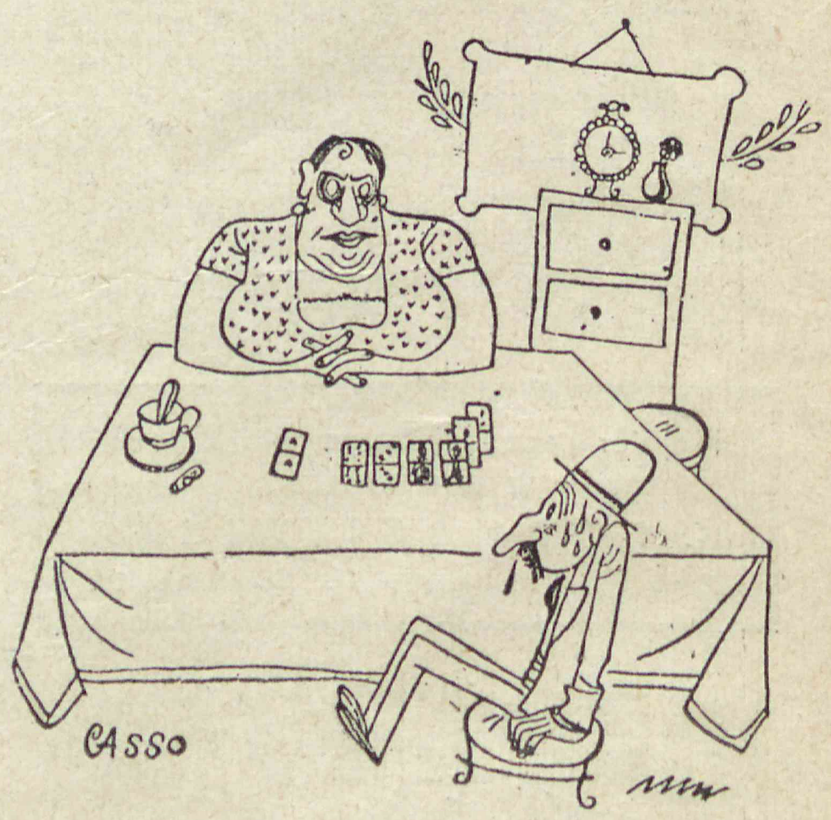

U WRÓŻKI

— Powiada pani, że będę miał tylko jedno dziecko, a wczoraj pani mojej żonie... przepowiedziała troje.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 95 (198) Zadanie kwadratowe

(Za rozwiązanie 5 punktów).

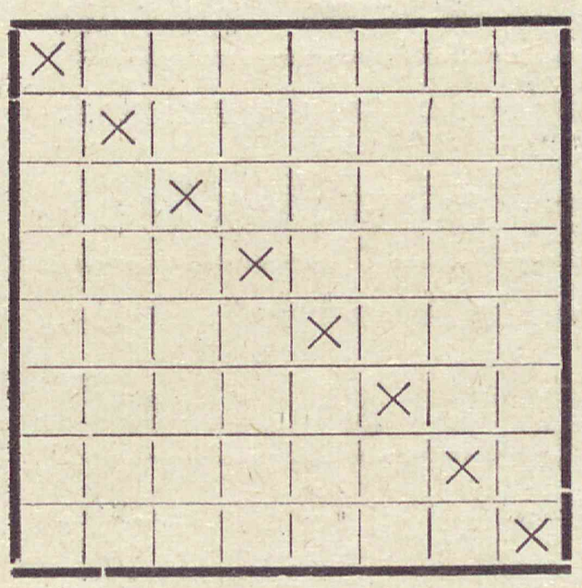

W powyższy kwadrat wpisać 8 wyrazów 8-mio literowych o podanem znaczeniu. Rząd oznaczony da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj dawnej gry w karty. 2. Owoc na drzewie świeżo zawiązany po opadnięciu kwiatu. 3. Obramowanie. 4. Ludzie będący zawsze odmiennego zdania. 5. Wesoły taniec hiszpański z kastanjetami. 6. Przestrzeń zadrzewiona, nietknięta, w stanie dziewiczym. 7. Dziki osioł, kułan. 8. Krótki wierszyk liryczny.

№ 96 (199) Zagadka

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Odgadnąć nazwisko znakomitego uczonego polskiego. Po odrzuceniu pierwszej sylaby nazwiska, otrzymamy nazwisko wybitnego niemieckiego malarza, a po odrzuceniu znowu drugiej sylaby — nazwisko wielkiego kompozytora.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU

PP. Jawnie Kowalskiej, Zenonowi Brenkowi i Fr. Wiśniewskiemu. Aczkolwiek Sz. Państwo twierdzą, że zadanie № 88 (rozsypane sylaby) jest niemożliwe do rozwiązania, to jednak otrzymaliśmy już kilka dobrych rozwiązań. Czasami naumyślnie dajemy trudniejsze zadania, aby rozwiązujący trafnie mieli tem większe zadowolenie.

Z. Tietzowi. Rozwiązań zadań № 77, 78 i 79 nie otrzymaliśmy, jak również rozwiązania № 89 wraz z zadaniem, o którem Sz. Pan wspomina.

WP. Kaz. Wiśniewskiemu. W spisie osób, które trafnie rozwiązały № 80 (183), nazwisko WPana zostało przez pomyłkę zniekształcone, za co przepraszamy. Należną WPanu ilość punktów zaliczamy.

Czytelnicy, którzy nadsyłają nam własne zadania, nie mogą w razie zamieszczenia ich w naszej rubryce rozrywkowej brać udziału w rozwiązywaniu. Autorom przecież nie możemy liczyć punktów za ułożone przez nich zadania.

Brydż

ODZYWKA W KOLORZE PRZECIWNIKA

Zdarza się, że jeden kolor prawie równo dzieli się między dwóch przeciwników. Po odzywce pierwszego gracza, drugi, który właśnie chciał zadeklarować ten sam kolor, zastanawia się, czy poprzednik jego blufował, czy też miał rzeczywiście prawo do takiej odzywki. Do niedawna uważano, że, odzywając się w kolorze przeciwnika, wytrąca mu się broń blufu z ręki. Po dłuższem doświadczeniu wytrawni gracze doszli do wniosku, że odzywka w kolorze przeciwnika najczęściej jest najwyraźniejszem zmuszaniem własnego partnera do jakiejkolwiek deklaracji.

Oto trzy rozmaite wypadki, kiedy takie „wymuszenie" znajduje zastosowanie: I) Y. 1 kier, B. 1 pik, Z. 2 piki; II) Y. pas, B. 1 pik, Z. 2 piki, i III) B. 1 pik, Z. 2 piki. Jest więc trojaka sytuacja: Ta, w której partner pokazał już swój kolor; ta, w której pasował, i ta, w której nie miał jeszcze sposobności do deklaracji. Jeżeli partner pokazał już swój kolor, odzywka w kolorze przeciwnika jest żądaniem od partnera deklaracji, umożliwiającej dogranie manszy. W obu innych wypadkach jest kategorycznem żądaniem pokazania koloru i obowiązuje tylko do jednej licytacji, bo wymuszenie deklaracji tam, gdzie partner może mieć zupełną mizerkę, byłoby nonsensem.

Naogół „wymuszenie" w ten sposób jest mało praktykowane. Poniżej podajemy dwa przykłady, w których taka odzywka była wskazana. W jednym z nich poniechanie tej odzywki zmarnowało szlema. Karty rozłożyły się tak:

♠ K D 10 9 x x
♥ x x
♦ A x
♣ K W x

♠ x x x
♥ K D 10 x
♦ K D 10 x
♣ x x

X
A B
Z

♠ renons
♥ W x x
♦ W x x x x x
♣ x x x x

♠ A W x x
♥ A x x x
♦ x
♣ A D 10 x

A. rozdawał i zapowiedział 1 kier, X. słusznie przelicytował 2 pikami, B. podniósł partnera do 3 kierów. Tu Z. najlepiej byłby wykazał swą bardzo mocną rękę, odzywając się w kolorze przeciwników. Bo silna zapowiedź jego partnera wskazywała, że B. nie może mieć nic w kartach, oprócz przebitek na piki, zaś A. niewiele mocniejsze ma karty, niż uprawniające do minimalnej odzywki. Zapowiadając 4 a nawet 5 pików, Z. nie ujawnia swoich możliwości szlema, do którego on jeden posiadł klucz swemi trzema asami.

Jeżeli więc sam nie ma odwagi zapowiedzieć szlema, licytując kolor nieprzyjacielski, przeszkadza zamknięciu licytacji i pozwala swemu partnerowi iść dalej, bądźto w karach, bądźto w treflach, aby stopniowo nie dojść do szlema. W tym wypadku Z. nie wykorzystał swoich szans i nie doszło do zapowiedzi szlemika, ani szlema.

W drugim wypadku, partnerzy z dość słabą ręką doszli do porozumienia. Rozdający karty nabrał przekonania, że zdążając w każdym razie do dogranej, może w międzyczasie poinformować partnera o rozkładzie i sile swej ręki. Karty rozdano tak:

♠ A x x x
♥ renons
♦ K W x x
♣ A D W x x

♠ K x x
♥ W 10 x
♦ D
♣ 10 x x x x x

X
A B
X

♠ 10 x
♥ K D 9 x x x x
♦ x x x
♣ K

♠ D W 9 8
♥ A x x
♦ A 10 x x x
♣ x

Obie strony były przed dograną. Dawał X. i zapowiedział 1 trefl; B. 1 kier; Z. 2 kara; A. 2 kiery; X. 3 kiery; B. pas; Z. 4 karo; A. pas; X. 5 karo; B. pas; Z. 6 karo. Nigdy Z. nie byłby się zdobył na zapowiedź szlemika, gdyby partner nie pokazał mu, że opanować może kolor swego przeciwnika. Z. mając Asa kier, wiedział już, że X. swą odzywką podkreśla renons w kierach. Wiedział również, że przyjaciel jego odezwał się tylko tak mocno, mając conajmniej 3 i pół lewy i rozkład korzystny. Więc liczył bodaj na jedno wysokie karo. W rzeczywistości, pomimo że zapowiedź nie była w tym wypadku „murowana", zrobiono nietylko szlemika, ale szlema.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 53

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

50%

ważny od 24/II do 2/III r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer. Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

Doskonałe środki do zębów „DENTOSAN"

Autorytet w sprawach reklamowych

Rudolf Seyffert („Allgemeine Werbelehre" str. 390) stwierdza, że najintensywniej czytane są ogłoszenia w prowincjonalnych dziennikach informacyjnych.

W budżecie ogłoszeniowym firm

współpracujących z prowincją nie może braknąć wydawnictw:

„Express Lubelski i Wołyński"

wielki, ilustrowany dziennik dwudziestogroszowy, wychodzący w Lublinie od lat 10-ciu.

„Gazeta Lubelska"

jedyne w Wojew. Lubelskiem miejscowe, codzienne pismo ilustrowane 10-groszowe.

Najwyższe nakłady na terenie Województwa Lubelskiego i Wołyńskiego. „Gazeta Lubelska" mimo swej wielkiej poczytności ma najniższy w Lublinie cennik ogłoszeniowy.

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, prospekty, kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referencje dotychczasowych inserentów, odwiedziny akwizytorów — na każde żądanie.

Siedziba i adres wydawnictwa: **Lublin,** Kościuszki 8, telefon 360.
Biuro w Warszawie: Nowy Świat 62 m. 41, telefon 433-56.

NIEOMYLNE ZNAKI KOŃCA KRYZYSU

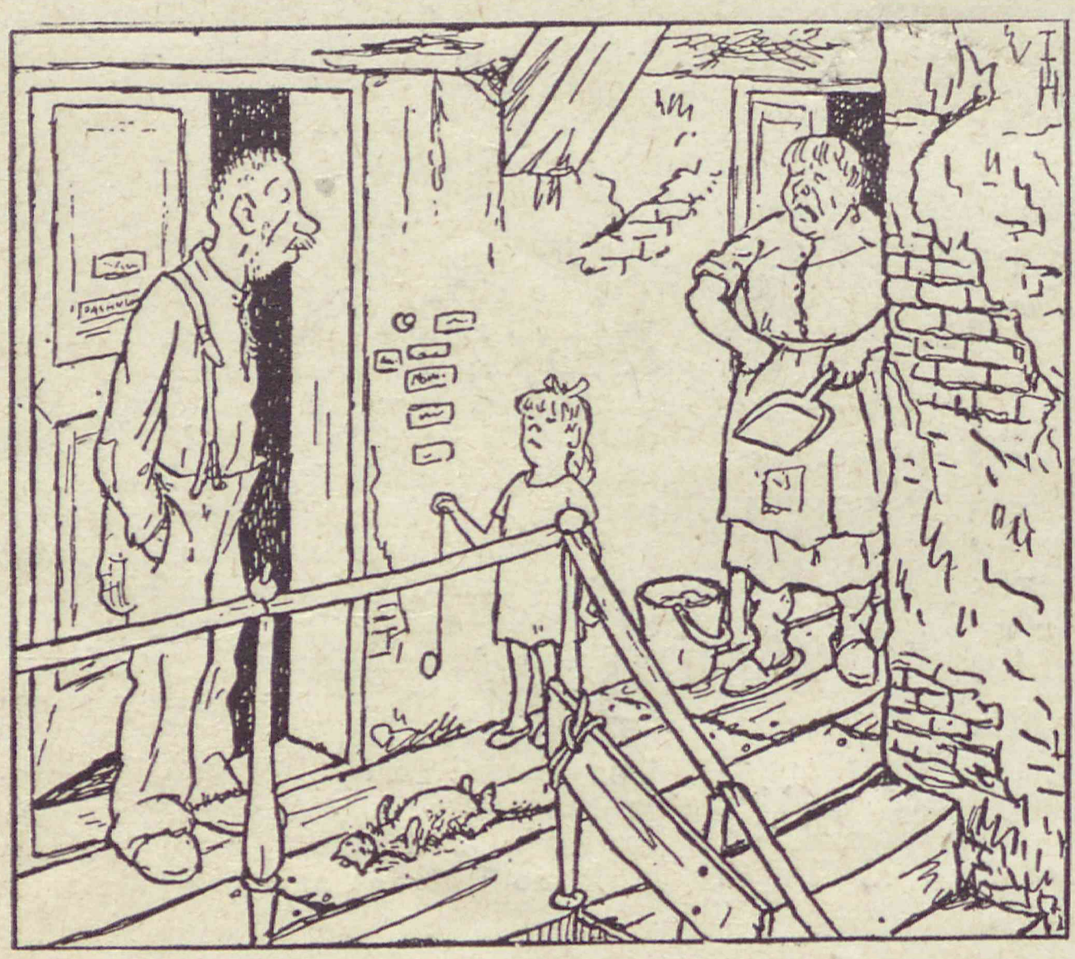

WYBREDNY LOKATOR

— Już czternasty dzień ten zdechły kot leży pode drzwiami pana, panie Głodowicz, a jeszcze go pan nie upiekł. Zaczyna się ludziom nanowo zadobrze powodzić...

KUPIEC ZBOŻOWY

— Oho, już szósty prosi dzisiaj o kawałek chleba. Wkrótce popyt przewyższy podaż! Ceny będą szły w górę!

(Simplicissimus)

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K. U. L.

P